

ANNA KAPUSTA

*Nie jestem
poetką*

KRAKÓW 2009

- © Copyright by Anna Kapusta
© Copyright by Wydawnictwo i Drukarnia Towarzystwa Słowaków
w Polsce, Kraków 2009
- © Projekt okładki, zdjęcie, koncepcja i opracowanie graficzne tomu: Anna
Kapusta, Kraków 2009
- © Rysunki: Pegaz (2000), Pismo (2008), Myśl (2004),
Koziorożec (2009): Anna Kapusta, Kraków 2009
- © Jak powstała mowa? Joanna Marzęcka, Kraków 2009
- © Poezja jak narkotyk: Ewa Kapusta, Kraków 2009
- © Poetka-tekst czy tekst o poetce? – próba performansu poetyckiego:
Katarzyna Grzyb, Kraków 2009
- © Portret na czwartej stronie okładki: Joanna Marzęcka, Kraków 2009
- Redakcja tomu: Anna Kajtochowa

*Projekt wydawniczy zrealizowano dzięki środkom finansowym udzielonym
Autorce w ramach Stypendium Twórczego Miasta Krakowa
w dziedzinie literatury w roku 2008.*

ISBN: 978-83-7490-270-0

Wydawnictwo i drukarnia
Towarzystwa Słowaków w Polsce
ul. św. Filipa 7, 31-150 Kraków
tel.: (012) 634-11-27
fax: (012) 632-20-80
DTP (012) 633-09-41
www.tsp.org.pl

Jak powstała mowa?

Dawno, dawno, bardzo dawno temu żyli ludzie nie posiadający ust. Ludzie ci nie mieli możliwości posługiwania się mową. Sprawiało im to wielką trudność w porozumiewaniu się.

Pewnego razu narodziła się czarownica mająca usta i nazywała się Mową. Ludzie zazdrościli jej, że ma usta. Mowa nie wiedziała, że jest czarownicą, więc była smutna, że nie może z kimś porozmawiać.

Kiedy wracała do domu, potknęła się o kamień, tak się na niego rozzłościła, że chciała, żeby on zniknął. Tak się też stało. Mowa była bardzo zdziwiona. Postanowiła spróbować jeszcze raz. Znow jej się udało. Pomyślała, że może uda jej się wyczarować usta dla innych ludzi, ale nie wiedziała, jak to zrobić. Uznała, że wyobrazí sobie ludzi z ustami. Nie powiodło jej się za pierwszym razem i ludzie porozumiewali się jak małpy. Oni i tak się cieszyli, że w ogóle mogą się komunikować. Mowa jednak nie była z tego zadowolona. Chciała, żeby ludzie mówili jak ona. Codziennie ćwiczyła i w ten sposób powstały: lwy, konie, słonie, psy, koty, ptaki i owady. Mowa podeszła raz do swojej jaskini i usłyszała to: „uu aa ee!”. Postanowiła, że musi każdego z osobna zaczarować. Ale jak? Przecież ona nie wie, jak wyglądają jej usta.

Następnego dnia padał deszcz. Mowa jak zwykle szła na trening i wtedy zobaczyła dwa kamienie, jeden był w wodzie, a drugi poza wodą, oba wyglądały identycznie. Podeszła bliżej i zobaczyła samą siebie. Tak się ucieszyła, że nareszcie może wyczarować ludziom usta. Była tak bardzo szczęśliwa, że z małego kamienia zrobiła największe góry świata, czyli Himalaje. Powróciła do jaskini i wyczarowała ludziom usta, a ludzie mówią o niej do tej pory. Ale to jeszcze nie koniec. Czarodziejka dzień po stworzeniu mowy zniknęła, pozostały z niej tylko białe motyle.

Ludzie do tej pory mówią i piszą, choć to nie ona wymyśliła pismo, tylko jej siostra Litera. Ale to zupełnie inna historia.

Poezja jak narkotyk

W fali poetyckiego uniesienia przechodzi przez życie człowiek zajmujący się poezją. Przeżywa swoje wizje, nadzieje, radości, smutki, marzenia, obrazy układające się w kalejdoskopie wspomnień i pragnień. Spostrzega zjawiska, do których inni nie potrafią dotrzeć, kreuje swój własny świat liryczny – taki, który nie istnieje *rzeczywiście*, ale w którym ów człowiek chciałby żyć. Próbuje on zmierzyć się z otaczającymi go ludźmi, którzy nie zawsze potrafią go zrozumieć, ucieka we własny świat, gdzie między wierszami potrafi zakamuflować swe najszybsze pragnienia i marzenia o zmianie *rzeczywistości*. W najdrobniejsze i najdalsze zakamarki jego umysłu docierają wizje i słowa. Zawładnięty przez poetyckie myśli i uniesienia człowiek postąpić może na dwa sposoby: albo pogodzić się ze swym *uzależnieniem*, pozwalając, by jego umysł, słowa i życie zostały całkowicie podporządkowane sile własnych słów i metafor, albo odejść w inną stronę, wiedząc, że wiązać się z tym niełatwe decyzje, życie na *głodzie*, aż do *wyleczenia*. Wiążąc swoje życie z poezją – zdaje się na jej wpływ na procesy myślowe, nie wiążąc zaś – nabiera dystansu wobec słów, którymi nie zawsze wyrażamy to, co myślimy; które potrafią także stać źródłem manipulacji.

Poetycki *odwyk* zakończony powodzeniem to nabranie dystansu w stosunku nie tylko do słów, ale i do siebie sa-

mego. To udzielenie odpowiedzi na pytanie, czy tak naprawdę chce się być poetą. To odkrywanie własnej tożsamości na nowo, uściślanie jej. Odchodząc w stronę innego świata, zagłębić się można w realizmie i prawdzie, bez wymaginowanych ciągów słów zdążających ku nieskończoności naszych myśli. Wyruszając w nową podróż zwykle człowiek nie pozbywa się wszystkich pamiątek z poprzednich podróży. Dlatego pozostaje w nim wrażliwość, umiejętność zauważania dobrych stron rzeczywistości, spostrzegania i rejestrowania we własnym umyśle zjawisk, które innym ludziom mogą wydać się nieistotne. Nie będąc poetą pozostaje się nim częściowo, gdzieś w głębi własnej podświadomości. Bo są rzeczy, o których się nie zapomina, podobnie jak marzenia, które się nigdy nie spełniają, oraz plany, których się nie realizuje. A życie pisze własne scenariusze, tworząc ramy, których wnętrze jednak to ludzie wypełniają kolorem. Podejmując decyzje, myśląc, godząc się i walcząc. Bowiem każdy z nas ma w sobie coś z malarza, artysty, naukowca, pisarza, czy śpiewaka. Podobnie jak każdy ma w sobie coś z poety, nawet nim nie będąc. Ludzki umysł chłonie mnóstwo elementów, jest rozbudowany i dlatego trudno do niego dotrzeć. Należy korzystać z niego, próbując odnaleźć własną drogę, niezależną i odrębną za każdym razem.

Dedykuję Ewie Barbarze

antymotto

poezja
jak
nieleczona
grypa
przechodzi w dorosłość
pozostawiając
uszkodzony
mięsień
sercowy

Od białej kartki do *białego ptaka*...

Biała kartka papieru znaczy bardzo wiele. Można z niej zrobić czapkę dla lalki, można na niej namalować cały świat albo napisać wszystkie niemożliwe słowa. Papierowym aktem urodzenia wpisujemy się w obieg przyrody. Pierwsze spotkanie ze szkołą wspominamy jako ciekawość białej kartki, intrygującą przestrzeń nowego świata. W tym nowym świecie poszukujemy dla siebie *odpowiedniego* miejsca, papier nam go obiecuje. Nawet w uczniowskim zeszycie istnieją jednak nie tylko nagłówki i tytuły pisane wielkimi literami, przestrzeni kartki dopełniają specjalnie wydzielone marginesy. A jak wiadomo – margines to inny świat, obszar oddzielony od starannego, regularnego i porządnego pisma. Ręka dziecka nie zawsze potrafi utrzymać właściwy ster. Czasem niesforne litery nie chcą stać w równym rzędzie, czasem nie pozwalają odczytać z siebie całości, sensu słowa. Biała kartka przestaje wtedy obiecywać świat marzenia, zaczyna zagrażać. Odrzuceniem, kpiną, krytyką. Nowy świat staje się miejscem *nieodpowiedniości*. Kim jest, a raczej kim będzie ten przyszły człowiek, jeśli przestanie ufać białej kartce? Może nawet nauczyć się wypełniać oczekiwania, wędrować od marginesu do marginesu. Przestanie być innym, czyli *nieodpowiednim*. Co się stanie z jego białą kartką, jeśli uzna, iż świat nie oczekuje jego obecności? Nie namaluje swojego świata, nie napisze

własnego poematu, nie zrobi z kartki czapki dla lalki ani papierowej łódki. I pewnie nawet przestanie być *nieodpowiednim*. Tylko co nam przyjdzie z kolejnego miliona odpowiednich, szytych na miarę, porządných charakterów pisma? Z armii tych, którzy nigdy nie zaglądną na margines, w obawie przed innym, *nieodpowiednim*. Oni zawsze pozostaną tłem, pójdą typową, wydeptaną ścieżką, zrobią w życiu to, co do nich należy i odejdą w niepamięć, w zgodzie z harmonogramem historii. Jedynym mankamentem tej *odpowiedniości* będzie fakt, iż armia odpowiednich dla własnego spokoju zapragnie pokazać tym *nieodpowiednim* ich właściwe miejsce – margines, przestrzeń wykluczenia. I nieważne czy będzie to wykluczenie z grupy rówieśniczej, czy zakaz samorealizacji, egzekwowany brakiem akceptacji dla zbyt *nieodpowiednich* pomysłów na życie. *Nieodpowiednich*, czyli innych. Innych, a więc trudnych. W myśl zasady oszczędności energii trudny to przecież niepożądany – ten, kto idzie do celu dłuższą drogą.

Przyjrzyjmy się czasem sobie, a potem mijanym przez nas co dzień *nieodpowiednim*. Przyjrzyjmy się światu, który to oni – inni, często wbrew powszechnej niezgodzie urządzili nie tylko dla siebie. To dzięki *nieodpowiednim* eksplorujemy powietrzne przestrzenie, poruszamy się w wirtualnym świecie, mamy dostęp do myśli, zakodowanych w dziełach sztuki. Oni mieli odwagę zaufać białym kartkom i zabrać ich dziecięcą świeżość w dorosły *odpowiedni* świat. Nie przelękli się wykluczenia, przestrzeni marginesu. Nie dali się przekonać do niższości i brzydoty chwijnego charakteru pisma. Zaak-

ceptowali swoją inność i pozwolili jej dorosnąć do oryginalności, którą z czasem nazwano geniuszem. *Nieodpowiedni* zawsze marzą o wyjściu z szafy, opowiedzeniu o sobie, ale prawie nigdy nie potrafią o tym pragnieniu zakomunikować *odpowiednim*. Boją się ryzyka ponownego wykluczenia. Na szczęście ufają białej kartce... I tej ufności możemy się od nich uczyć. Białe kartki zabieramy z sobą, z tym papierowym bagażem idziemy przez życie. Jedni składają je z architektoniczną precyzją, drudzy wypełniają słowem lub barwnymi plamami. Jeszcze inni gubią je po drodze. Białą kartkę łatwo stracić i bardzo trudno odnaleźć.

Swoją nazwałam *białym ptakiem*. I nadal wierzę, że nauczyć się latać.



PEGAZ (2000)

BIAŁY PTAK

(WIERSZE Z LAT 1998-2002)

ślady wątpliwości

palcami
tkamy
pajęczynowy żagiel
ciszy

dotykasz osobności mojej
ręki

masz w oczach
moje oczy

wnikamy w powietrze
jak szept
w nadpalony papier

otulam się twoim
głosem

I. AUTOPORTRET

co to znaczy być poetą

jestem wyhaftowana
na oparciu krzesła

marzę o zachwianiu
pewności
białych ścian

z miłości do przemilczeń

przyniosłam słowa
ręcznie szlifowane
odcinki
mojego szkieletu

nieczytelność obrazów
posyła mi
porozumiewawcze spojrzenie

* * *

na krosnach
konarów drzew
uplotłam
swe niebo
zagwieździła się noc

skąłę
omszyłam dociekaniem
rozsypałam
wiatrem
w ziarno piasku
na zwirowisku
tańczą
lawiny

skamieniałam
drgnieniem liścia

teraz nasłuchuję
wskazówek
zegarów

pajęczyny

odslaniam ramiona
wieczornym pobłazaniem
porannym blaskiem
kobierca pajęczyny

wilgoć powiek
skleja
misterne sieci
witraże
muszych skrzydeł

telegram

proszę o zwolnienie mnie
z czwartkowych obiadów
u Pana Boga

wybrałam
karczmę pod ciemną gwiazdą
dance macabre
cierpkie jagody

przelewam
morze muszelką
kiedy

noc
splata
całun
drżącą dłonią Tomasza
apostoła dotyku

* * *

unikam
dotyku
zawieszonych
na kłamce
kopert
snów

nie otwieram drzwi
powiek
nie wabię mar
zaczajonych
na progu
rzęs

kołysanka

nakrywam
bezszennością
zasuszone płatki
westchnień

głaszczę
kurz na półkach
ugiętych
troską
ksiąg

szepczę do ucha
niespokojnej poduszce

zasłaniam wstydlivość okna
czasem podaję Księżycowi
chmurność

nie wołaj mnie

kroplą rosy
bukietem fiołków
mirrą i kadzidłem
echem
jestem
kamykiem
w strumieniu
codzienności
słyszę śpiew
porannej trawy
lament
przebudzonych powiek
twoje kroki

litania

modłę się do pustki

codziennie o tej samej porze
synchronizuję
bicie serca z tykaniem zegara
liczę klepki w podłodze
stracone złudzenia
robię sobie sweter na drutach
nadzieję

modłę się do pustki

* * *

bywam
muszelką
morza namiotem
okrywam
przyływy i odpływy
wapiennym labiryntem

wspinam się ślimakiem
ku koronom
spróchniałych drzew

autoportret

oto ja
zwierciadło czasu
obramowane
pustką stwierżeń
zniekształconych myśli

małeńkie zdraśnięcie
idealnie szklanej
powierzchni
pryzmat bezbarwnych
kalejdoskopów palet

oczy strachów
usta słów
dłonie czynów
kontury zamiarów

II. OSWAJANIE PRZESTRZENI

* * *

w zardzewiałych rynnach
bezradność
kropli

stukot
opadania

z ciszy
w ciszę

niepokój mgły

osiąść
wniknąć w poranek

przebudzić
słowem

Genesis

taniec bezsenności
zostawia na poduszce
ślady
powszechnego ciężenia
szczelin
w skorupie głowy

wypalona światłość żarówki
nie oddziela ciemności
ruchem orbity
ust
dzień się unosi
kurzem

drogowskazy

za tym zakrętem
za tą spróchniałą wierzbą
stoi życie
odwrócone plecami
do leśnych ech
kukułczych kołysanek
świata
stoi w kamiennej kapliczce

pod kopułą
rąk
w kadzidłach południowego słońca

stoi w gąszczu
oplatając mury
marzeniem

śnieg

wiem
trzeba chwycić chwile
te pierwsze
inne roztapiają się bez dotyku

przedpiekle

cerber
całuje każdą dłoń

dzień
obola
dobry

nieśmiertelność waluty

krypta reformatów

podziemne miasto
oddycha
płomieniem
świecy

jedwabne kokardy
trąbka grajka
bezhmurnego nieba

pytanie sfinksa

zapytał mnie kiedyś
przydrożny sfinks

gdzie kończy się
człowiek
we krwi czy w słowie

jestem tutaj tylko
przejazdem

pejzaż

przed
nami
za
nami
wielka definicja

między nami
zaprzeczenie
rąk i ust

oswajanie przestrzeni

najtrudniej
zwykle o świcie
spojrzeć
w posadzkę korytarza
krzywe zwierciadło
snu
wypolerowane
wahadłem
niewidzących żyrandoli
w zakłętym czworoboku
ścian

III. MOŻLIWOŚCI

jutro

jeszcze się wyśni
sen spokojny
wyśpi się troska
w ciepłym łóżku
jeszcze
poda rękę
wschód słońca
jeszcze
promienie pogłaszczą
zmarszczkę
na codziennym czole
jeszcze
wiatr rozpędzi
krótkowzroczność mgły

jeszcze się dotęsknimy
jutra

list do prawej ręki

proszę cię daj spokój
przestań wypisywać
wieczność pióra
rzeczywistości wystarczy w plenerze
nie rozdrapuj na głowie
czwartej strony
włosa
myślenia też wystarczy
popatrz przez palce
białej rękawicy

sterylność popłaca

rozgrzeszenie

dociekliwość i obawa
plączą się
w jaskrawej
sznurówce

snują wachlarz nitek
postrzępionych
tupotem
wyżłobionym
na śniegu

nikt już nie odnajdzie
śladów
wątpliwości

światło

ujrzeć cień
blasku
co dalej
za peleryną
zamknięty
pojęciownik sensu

taniec opętanej ćmy

biegnie
rozpościera skrzydła

plomień

przygarnia do siebie
otula drżenie ramieniem
pozwala zapomnieć
chłód nocy
szuka ust
dłoni

przekreśla
konieczność
przebudzenia
obiecuje szeptem
trwanie

potem

budzi się popiołem

* * *

mamy wspólnie
ścięte łądygi
pudełko
półsłówek
przewiązane
postrzępionymi
serpentydami

jest
prościej

kalejdoskop

kolorowe szkiełka
mozaika
naszych dłoni
w choinkowych
blaskach oczu

nie było
mlecznej drogi
do słów
zaczajonych
na końcu języka

wirowały
w głowach
konstelacje

szczęście
tliło się
w palcach

poranna rosa
zamieniła
żar
w wypalony skrawek
ziemi

kalendarze

Kory
zaplatają
ufność
w złote warkoczyki
Demetry
drepczą
między Olimpami
babek
piaskowych

medium

trzymam
w rękę
automatycznego pilota
przyciskam jednocześnie
kolorowe
guziczki
dni

na ekranie
nieustające zakłócenia

możliwości

można

usłyszeć

monolog

dotyku

wyrwanej

strony

krawędź języka

przełożyć

smakiem ze smaku

sprawdzić geometryczne

przystawanie

oddechów

IV. MISTERIUM

ostatni z długowiecznych

zmarszczki rękopisów
rzeźbią oblicza
świata

okno z widokiem
na tam i wtedy

przy parapecie
wsparte
kosturem
oczekiwanie
przeciera oczy

Psalm

Przyjmij Panie
na ołtarzu z błota
kroplę
rosy czoła
posmak
pucharu
ściśniętych ust

Przyjmij Panie
strunę
rzemyka
Twoich sandałów

* * *

nieśmiertelność
spaceruje pustymi lejkami
co krok
potyka się o betonowe pomniki
pamięci

wywraca w pośpiechu
flakony z istnieniem
purpury chryzantem

niecierpliwe motyle
ogników zniczy
wznoszą na skrzydłach
epitafia
kamienie milowe
układają rozdroża
w laurowe wieńce
wosku

jeden
mały aniołek
odgarniając złote loki
z uniesioną głową
w chmurach
poszukuje aureoli

epitafium

była łzą
oczu
żału rzęs
bezzadności

otartą smugą
gestu
głosem
zamkniętym

w ramach
tęsknoty
do nieskończoności

wieczór autorski

upadłe anioły
całują zimne gabloty
pełne białych skrzydeł

dawno zapomniały już
o niebieskich snach

urządzają wieczory autorskie
składają
słowa
na purpurowym dywanie
umywają ręce w kroplach
rozpaczy

tylko posiniaczone myśli

zawierają praktyczne znajomości
z brukiem

liczenie szkieletów

grudka do grudki
policzek do policzka

ile krzyku tyle jęku
łopaty
ile skroni tyle cierni

jarmark farby drukarskiej
litania
chrzęstu kości

* * *

są rzeczy niewątpliwe jak cień
dzień i noc
przetarte we śnie oczy

są rzeczy proste
przebrzmiewają
dymem zniczy

jest wreszcie
czekanie na świat

sen

pamiętam
poszukiwałam brakującej
rzęsy

znalazłeś ją przyszpiloną rozpaczliwie
do mankietu twojej koszuli

małą
topielicę
osiadłą na mieliźnie
płótna

ukradkiem
nakreśliłeś granice
świata

list z tamtego jutra

dawniej myślałam
istnieje
coś

zwłaszcza
pustka
zakwitająca słowem

dawniej myślałam
trzeba czuć
drgania mięśni
nawet bezruch
namaścić
znaczeniem

dawno temu oddałam
siebie
gabinetowi osobliwości

misterium

kasztany
na chodnikach

kwitnienie
zakłete
w łupinie

V. METAMORFOZY

po północy

głupota
zdejmuje z czułością
makijaż
wyczesuje z włosów
gwiezdny kurz
ustawia przed lustrem
lichtarze dziennych spraw

* * *

ukrzesłowiłam
wzloty
podpierając
kręgosłupem
kosmos
ortopedyczny kołnierz

* * *

przemyka
pośpiechem
tłumu
rozkład
opadania
liści

Wypominki

byłabym
kształtem
twoim

gdybyś podarował

posiadałabym
siebie
na własność

George de la Tour

Miała właśnie zaryglować drzwi

Stanął w progu

Z czaszką

Przyrzekł miejsce w panteonie

oczodołów

mówił że do twarzy jej w tkaninie

zwiewnej

ciemności

chciała dać mu wieczność

barwy

sobie zostawiła

lustro

diagnoza

urodziłam się bez skóry

chroniczna bezwstydnosc

czucia

nadal żyję

nie pokryję

nagości

linieniem

martwa natura

jest miedź co nie brzękiem

jest uśmiech co nie światłem

istnieje doskonałość kompozycji
samotnych elementów

półcień

odślaniaj
połowę
słowa

półbogom
platońskiej jaskini

w połowie
snu
prawda

wernisaż

sklepienie
lotne
obrazem duszy
płótno rozpięte
drzewem życia
toast zastygły
marmurem

metamorfozy

wsparciem ramienia drzewa
drganiem suchego liścia
osuwamy się w miękkość ziemi

wiosną
jednym wyrośniemy źdźbłem

VI. ODDECHY

milczenie

oddech
w koperce

przymierze

chcę tylko
ciszy
dotyku
nieba i ziemi

stwierdzenie

nie trzeba zagłaskiwać
żywołu
gradobiciem

laserunek

pokrywam
płótno
bycia
warstwą
istnienia

fotografia

człowiek i człowiek

brakuje siebie

menu

szukam oddechu
zamykając
w ustach
pocałunek
łyżeczki
miodem
zatapiam
słodycz pragnienia

czasoprzestrzeń

śmiech zardzewiałych ram
kryształ papilarnych śladów
historii

galeria
prawdy

widziałam

widziałam
Konradów
w rozciągniętych
snami
kurtkach

* * *

siadywał

zwykły
do granic
zwykłości

przerzedził tłum
pustym krzesłem

na końcu świata

radość
gubi słowa
myśli i czuje
gestem

O sobie samej w osobie pierwszej (*Manifa programowa*)

Książka poetycka „*Kobiety mistrza. 29 grudnia 2003 – 29 grudnia 2004*” jest owocem projektu Anny Kapusty, mnie samej – autorki tomiku, poświęconego samodzielnemu (*samotnemu?*) odkrywaniu kulturowych Śladów Kobiecości. Dlaczego tylko *Śladów* (może *Szczątków?*)? Dlaczego piszę *o sobie* (może *o innych?*) *w osobie trzeciej?*

Pytania te, dwie snujące się (*prujące się?*) nitki Kobiecej Wątpliwości, stały się początkiem refleksji nad milczącym (*przemilczanym?*) głosem Muzy, (*nieformalnej?*) instytucji (*oficjalnej?*) kobiecości obok artysty, jego wyciszzonego (*lub uciszzonego?*) tła i niemego (*wiernego?*) zwierciadła. Udzieliłam więc Muzie (*Muzom?*) głosu, *mówiąc ja w pierwszej osobie*, poszukując zatartych *śladów* Kobiecej Tożsamości. Odnalazłam Kobiecość w różnorodności (*różnorodności?*), Kobięce – Wymilczane Kontinuum Poezji – od Ksantypy do Aury. Gdzieś po drodze wydarzyła się także moja tożsamość, profil autorki lub autorstwo profilu. Który to profil?

Tego nie wiem na pewno – wiem jednakże, iż Kobiecość Poezji zasługuje na głos i odgłos tego głosu – echo wygłoszenia Kobiecości (*mój głos?*).

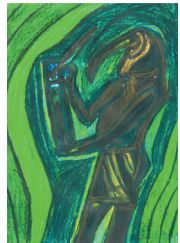
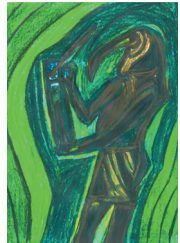
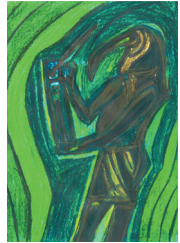
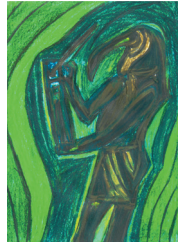
Tak powstała książka o „Kobiecym” pomyśle na Muzę, na igraszkę z „męskim” wizerunkiem instytucji Muzy – *kobiety obok artysty*.

Do udzielenia sobie głosu, *głosu ja w pierwszej osobie*, zaprosiłam inne Kobiety – Artystki, Muzy Kobiecości: Redaktorkę tomiku – Annę Kajtochową, Krytyczkę i Poetkę – Joannę Szewczyk, Graficzkę – Annę Piekarczyk oraz – z zamiłowania Fotografkę – moją Siostrę, Agnieszkę Marzęcką. Powołałam do życia Zespół do Spraw Życia – Twórcze Kobiety.

Tak powstała przyjaźń Kobiet Mistrza – Mistrzynie Kobiecości.

W tej Kobiecej Przyjaźni upatruję narodzin Kobiecości – Wartości, której w języku innym niż Kobiece Miłczenie (*zamilknięcie?*) nie umiem wypowiedzieć.

Może jest nią po prostu Kobiecość Słowa, Tajemnica Poezji, może Tajemnica Kobiecości, może sam Głos Kobiecości... (może moje Kobiece Ja?)...



PISMO (2008)

KOBIETY MISTRZA

(29 GRUDNIA 2003 – 29 GRUDNIA 2004)

PROLOG

pieśń wieczorna

wieczną kołysanką pióra
zapadam się coraz głębiej
w siebie poranną

przekraczam na wznak milcząco
drugie dno ciszy

prześwietlam sensy dnia
światłem nocnej lampki

ścianom obojętności posyłam
skupione cienie rzęs

myślą idę w ciemność

próba dramy

chór oczu wypatrzy bohatera

o właściwej twarzy

idzie

podnosi słowa

gazetowe ścinki

dnia

zadrży kurtyna pamięci

światło pada

wyłącznie na fakty spisane

w zmarszczkach mimicznych

jedna para rąk uspokoi

trzepot powiek

solowy lament nad porządkiem kosmicznym

oko boga Re

zamarznięte piekło
zamyka świat w opuszkach
palców

światłem draży
przerębłem w białej tafli
papieru

promień wzroku
tnie przestrzeń w geometryczne odcinki
żrenicy

grzechotka

Mamie

od niemego początku
jest we mnie puste
pudełko z czarnym kamykiem
kamyk
nigdy nie rozbije
przeźroczystych ścian
będzie się tłukł
aż do skończenia świata

astrida

Joasi

od stu dziewięćcych lat
łowi zapatrzona przechodniów
wyblakłym uśmiechem fotografii

bezsennością
tka pajęczynowe konstelacje
rozplata niciany krwioobieg dni
wplątuje słowa modlitwy w wieczność
snu

niedokonane wspomnienie jutra zastyga
marmurową poduszką

ślądem ostatniej łyżki woła
do wygasłych gwiazd ludzkich oczu

kiedy chcę ją zapytać
świdrującym chichotem myśli
odbiera mi mowę

CZĘŚĆ I

ANATOMIA MISTRZA

nadejście mistrza

*on podążał
bezdrożem znaku zapytania
ona stała rozstajem*

*odpowiedzieli sobie
historią nadejścia czasu
jej cisza stała się mową mistrza*

anatomia mistrza

*nieomylnością ręki krzesał
dotyk marmurowej ciszy*

*smakował krawędź spojrzenia
wiernym lustrem wody*

*rozbijał wzrokiem dno
pustego pucharu win*

skamieniał

trującym kwiatem twarzy

stań się

jesteś moim najbardziej
nienapisanym wierszem
nie dajesz spać ani jeść
zaklinasz wszystkie puste miejsca
kartki
w papierowym krwioobiegu
nosisz w pustych kieszeniach
gotowe metafory

jedno moje stań się
a boska nieśmiertelność pisma
byłaby ludzkim
dramatem stworzenia

sfumato

kiedy rozciągasz przede mną czyste płótno
świtu
wyruszam wolno w pejzaż snu
powlekam ciemnością kawy
pierwsze olśnienie
paletą aromatów dnia wstrzymuję
ziemię i słońce

wtedy malujemy światłem dotyku
perły naszych oczu

rozmowa

słyszę twoje słowa zanim siebie
pomyślisz
mówię tobą kiedy chcę
zaprzeczyć

na skrzyżowaniu
przymkniętych powiek
spotkała nas zdrada
rozszerzonych źrenic

tak chcielibyśmy dzielić
wspólny język przemilczenia

liryka

czytam
pochłaniam twoje usta oddechem
przewrotnych stronic

piszę
pozwalam ci tchnąć we mnie słowa dotykem
twoich ust

sennik

snem dotykamy smaku marzenia
podniebienie nocy wypada naszym oknem
w krzykliwe gardło ulicy

jutro
połkną nas głodne spojrzenia

plaskorzeźba

wbrew sobie i pomimo
pęknięcia nazywałam ornamentem
okruczem farby rzeźbiłam paletę
twarzy

ścierałam pojedyncze zgłoski
posklejane nieopatrznie w słowa

chciałam oddzielić siebie od ciebie
ale jednym mgnieniem oka
obdarłam nas ze skóry

barwy podstawowe

chowając w sobie
czarne anioły
śniegiem
wymodliłam sobie
białą sukienkę

żebyś nie zauważył
przed czasem
moich ziemskich
kości

cisza

Przyjacielowi

nie podnoszę słuchawki
nie odpowiadam sobie
na twoje pytania

stoję sama
obok swego odbicia
nie zahaczając o spojrzenie

odpuszczam sobie
grzechy bliźnich

august rodin

drżącym mięśniem kamienia
pręży się niema twarz kariatydy

skalny monolit uśmiechu
przenika wieczny kręgosłup czasu

po drugiej stronie wyciągnięcia ręki
omdlewa pusta ściana światła

magnificat ciała podwaja dotykliwość
samotności

rok 1492

ja krzysztof

oddaję swoje dłonie łańcuchom
stuleci
archipelag marzeń powierzam
stałemu lądowi ciała

ja izabella
oddaję swą koronę morskim oczom
szaleństwa
królewską godność powierzam
porwanym żaglom duszy

zamilczenia

Marii

zamknęłam prywatny azyl współczucia
nie karmię już głodnych słowami
nie nasiąkam łzami strapionych

ciszą czczę człowieczeństwo

zabawkarnia

miałeś być moją pluszową przytulanką
miałeś ocalić sobą zaginiony świat

kiedy odkryłam twoje ciało
szeleszczące trociny
przystałam być porcelanową lalką

postanowiłam w tajemnicy pozbierać
rozsypany fragment biografii

nie pytałam czyje ręce odsłoniły
twój farbowany aksamit

przystałam wierzyć w porcelanowy chłód
mojej natury

szkło

Królowi Śniegu

światy
czasem
opadają kurzem
pył dni brudzi dłonie
czasem
w wydychanym powietrzu
za szkłem
dotyk nie pulsuje ciepłem
spotkania

powraca nieodwołalność
twarzy

mistrzowi piekieł

Przyjacielowi

za mną nic nie ma
rajska ściana mgieł
szukałam w tobie kości danteo
ja beatrycze epizod kurzu
za mną nic nie ma

tylko ty trwasz
mistrz pustego teatru jednego słowa

pięciopalczysta struna drży
gestem zaprzeczenia

ważąca perły

świadectwem zamkniętych drzwi
pokojem czterech ścian
ważę wygasłe słowa

niepewnością pamięci
kładę na szali
puste oczy pereł

codzienność nadchodzi samogłoską
otwartych ust
czekaniem na chwilę
bez myślenia

milczenie galatei

król samotnego królestwa własnego
cienia
klęczał sam przed obliczem bogini
nieobecności

władczym kryształem oczu
przecinał kamienne niebo
ciszą śledziłam echo oddechu
milczeniem uczyłam go sztuki
milczenia
przestrzeni
dotykem
ciepła
chłodem kości słoniowej

powietrzem prowadziłam jego dłoń
dłutem drążyłam ścieżkę bezczasu

nieśmiertelnym
imieniem jego samotności
nazywają mnie
kobietą mistrza

CZĘŚĆ II

PIEŚŃ MAŁGORZATY

pierwsze spotkanie

zobaczyłam w tobie niepisane
wiersze

podałam ci dłoń zamiast
pióra

przypadkiem
upuściłam jedno słowo

ciągle od nowa
podnosisz je z ziemi
poematem nieba

siostra

Siostrze

na kryształowym szydełku
zrobiła mój cień
szarą nicią

o krok przed moim krokiem
trwa
w uniesieniu stopy

czasem
ciałem
przeglądam się
w jej sukience

jej fotografią
pierwszy raz
spojrzałam sobie w oczy

aurora

piję codzienność goryczy
nieśmiertelnym kielichem dłoni

jawnogrzesznym koncertem ust
nucę samotność fortepianu

wystukuję melodię snów
taktem twojej metryki

czczę harmonię burzy
pięciolinią tęczy

królowa balu

wystąpiła przebrana za siebie
(zielone oczy
zimne dłonie
kołatanie serca)

swoje pięć minut oddała księciu
(jeden taniec
dobry układ
królewska etykieta)

po północy powiedzieli sobie wszystko
(żadnego milczenia
pełnym głosem
na wydechu)

dobra wróżka dokonała dekoracji
(łzy szczęścia
czerwone róże
kieliszek szampana)

podobno ałłasowy pantofelek
nadal leży na schodach pałacu

judyta

Słońcu

tańczę dla ciebie zawirowaniem sukni
żarem krzeszę czarny marmur

przenikasz mnie oddechem ziemi
drganie przezroczystego powietrza

wypalam się minutą ciszy
pustynią nagrobnych płyt

układam wieczność południa
inskrpcją suchych traw

moje życie jest ucieczką do twego
imienia

hieroglif

przebudziłam się w twoich myślach
bezsenna twoją nieprzespaną nocą

zapisaleś sobą moje kalendarze
płynąłeś we mnie stróżką atramentu
papier nasiąkał ciszą

a ja
zastygłam przed tobą
milczącym hieroglifem

ksantypa

w proporcjonalnych odcinkach przebudzeń
ksantypa udziela sobie samej
racji
bytu

prywatna dialektyka marzeń
wycieka kranem na ateński rynek
kryterium rozumu ceruje własnoręcznie
co najmniej raz w tygodniu
zszywa dobro prawdę i piękno
jaskrawą nitką cichych dni
niebieskookim paradoksem życie uchodzi
w cień

wiedźma

szukałam uroku księgi
w zaklęciu twoich ust

moje ostatnie wspomnienie
ociera się czarnym kotem
o ściany ludzkich spojrzeń

czzerwonym inkaustem krwi
wywabiam płamę życia
z czystego pergaminu ciała
wiem

innego wiersza nie będzie

przyodziani w zgrzebny rytm
zszywamy czas i sens refrenem
kolację śniadaniem
noc dniem

odkurzamy metafory
wyprowadzamy na smyczy
skowyt pragnień
innego wiersza nie będzie

pamięć

pamięć wrasta we mnie
nowotworem ciszy

spojrzeniem w dym
oczekuję okruchu ognia

mechaniczne łyży przesłaniają oczy
wsiąkam w ziemię zapachem chwili

żywe komórki wspomnień
karmią ciało życiem wiecznym

testament

chciałabym kroplą
posiąść ziemię

oddać siebie
bezpamięci zamknięcia oczu
zastygnąć rzeźbą bezruchu
odejść bez śladu stóp
piaskiem w wiatr

srebrne myśli

Przyjacielowi

rano
znalazłam na podłodze
srebrne myśli
twojej wieczornej głowy

ogłosiłam zwiastowanie czasu przeszłego
otwartym oknem poranną stałość
jutra

album

kolekcjonuję pierwsze osoby
liczby pojedynczej i mnogiej
datuję drżenia rąk i powiek
barwne plamy w zwojach biografii
kiedy patrzę w gotowość obrazów
widzę niepewność ruchów pędzla
gładkie wiersze dzielą się ze mną
kolczastym gąszczem skreśleń
zasypane drogi wierzą sygnaturze
moich pojedynczych kroków

modlitwa

sobie samej

poezjo świecie papierowy
wybaw mnie

od panów poetów
pewnych swej nieśmiertelności
jak chorągiewka wiatru

wybaw mnie
od pań poetek
szeleszczących wzruszeniami sukien
szepciem gaszących świece
parafinowe pochodnie natchnienia

wybaw mnie
od cierpliwości papieru
bladego dumnie gotowością kurtyzany

daj mi
nienasycenie mgły
przenikliwość zawieszenia głosu
skrucę skalnej lawiny

przytul mnie
sarkofagiem grudki ziemi

ewa

sięgam do twoich ramion

nie umiem sobie wyobrazić
własnego nieistnienia

bez bólu rodziłam się w tobie
jak to możliwe że przede mną
byłeś już człowiekiem

pamiętasz moje dorastanie
do twoich zamyśleń

tylko do ciebie potrafię się uśmiechać
atłasową podszewką twarzy

pieśń małgorzaty

Małgosi

było we mnie nie w tobie

rozedrgane
ślepe
z bijącym sercem
wypełniało mnie ewangelią
twojego uśmiechu

objawieniem przyjąłam je
tylko twoje
oto ja służebnica życia

jedno i pierwsze takie moje
słowo
dzisiaj zrozumiałam że beze mnie
byłoby pustym otwarciem ust

chciałam wierzyć w nasze oczekiwanie
tętent krwi
spojrzenie czasu
błogosławieństwo jednej myśli
wtedy wyrwałeś mi z zamkniętej dłoni
ciepło poranków
kołysany we śnie
schówek na marzenia

wtedy kamień przestał być misterium
ziemskiego przyciągania
obca ziemia pod stopami
dała mi wieczność
bez zbawienia

odejście mistrza

byli sobie słowami pokuszenia

on wybrał milczenie

ona wybrała jego

odejściem w pustynię oczodołów

mistrz porzucił lirę

uśmiech

odbijam się od ziemi

oddechem wiosny

prosto w powietrze

kruszysz na mnie wzrok

śmiejemy się do siebie

skrzyżowaniem ulic

przyspieszamy czas

wstrzymaniem kroku

twarze drętwieją nam

zadowoleniem mięśni

z czego się śmiejemy

z naszej uśmiechniętej

naiwności

EPILOG

pytania

pytają mnie jaki był
czego mogłam dotknąć
w jego palcu zamilczenia
jak malował
moje pierwsze słowo
miał mokre i słone ły

epos moja

idę za nim
cieniem
po ścianie
kartki

szukam ciszy
słów
zieloności świata

gdzie jeszcze zaprowadzi mnie milczenie
czasu

aleją cyprysów odkrywam powietrzną ścieżkę
horyzontu
liniami papilarnymi oznaczam geometrię
chwil

stopy uczą mnie trwania
ziemi

peregrynacje

idę przed siebie
przez oswojone lęki
zmarnowany czas
nieprawdziwe przyjaźnie

idę
z miłości do rozstań
prawdą wiary w cierń

pytam powietrze o przeźroczyść
światła

błękitne trzewiki

żeby dotrzymać kroku jego uniesieniom
przyjęłam dnia siódmego błękitne trzewiki

siedmiomilowe szczęście utkane niebem
wejrzenia

siłą niezemskiego przyciągania niosły mnie
ku grząskim rozstajom błękitów

mogłam w nich góry i morza
przemierzać prędkością snu

na początku
sznurowałam ich puste oczodoły
skupionym bezruchem marzenia
teraz
nadal sznuruję pękniętą linię życia
opowieścią sznurówki

buty na miarę stopy boga
uciskają i ranią do krwi

kwestia czasu

*między jej a jego krzykiem
niemą kwestią stanął czas*

nieproszony gość z klepsydrą

*najpierw jej nieistnieniem
napisał jego metrykę
potem jego metryką
naszkiecował jej pole widzenia*

*pytali siebie
pytali czasu
kto dał mu ostatnie słowo
kto nauczył głównej roli
maestrii opadającej kurtyny
w teatrze ukłonów*

*w pustej przestrzeni cisza dogasała
kwestią czasu*

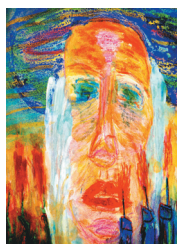
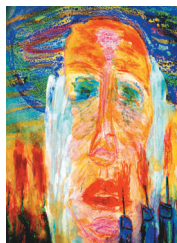
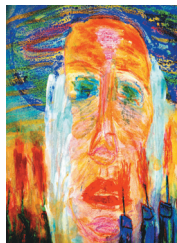
Preclarki

Kim są? Skąd przychodzą? Wyrastają z chodników o świącie zanim światło słoneczne zacznie oświetlać ich chodnikowe twarze. Nigdy nie mówią o sobie. W oczach także mają chodnik. Szarość zmęczenia, która odbiera człowiekowi nawet zmarszczki mimiczne. Znikają o zmierzchu zabierając ze sobą sól, mak, sezam i okruchy precli. Wytrząsają z pomiętych fartuchów nieme szczątki rozmów o niczym. Czasem razem z pustym wózkiem ciągną za sobą rozpacz pustego domu. Najczęściej gorycz pustej, emerytalnej kieszeni. Kobiety nieruchomej przestrzeni miasta – rogu ulicy, zaułku parkingowego. Z reprezentacyjnych ryneczków i rynków w kącie miejskiego mikrokosmosu wstawili je właściciele ogródków, zniesmaczeni ich okazałymi gabarytami, mrozo-odporną toaletą albo podrapaną gąbłotą na precle. Krakowskie preclarki. Mistrzyni walki z małym głodem drobnych posiadaczy bilonu. Idę ich krakowskim szlakiem. Podążam zgodnie z jedynymi takimi nieruchomymi punktami w wibrującej masie ludzkiej listopadowego popołudnia. Nie jem precli. Spoglądam tylko na wyprane dłonie zanurzające się w chlebowej wariacji na temat produktu zastępczego, niezrobionej z lenistwa albo pośpiechu domowej kanapki. Ręce do łokci zapadają w preclovej hałdzie, w parującej jeszcze ciepłem piekarni popołudniowej dostawy. Wyławiają na życzenie przesolone albo wyjątkowo makowe egzemplarze.

Zrogowaciałymi opuszkami palców wyłapują czas wypieku – biologiczny zegar precla. Chociaż i tak zawsze zapewnią pytającego, że dzisiaj naprawdę świeże...

Chowam aparat fotograficzny do plecaka, nie chcę zabierać preclarkom twarzy. Może pod grubą warstwą kremu, przed wiatrem, słońcem, mrozem i spojrzeniami kryją się jednak profile szlachetnych dam. Przemienionych miłością kopciuszków albo przynajmniej dobrych wrózek – matek chrzestnych wygryzających z precli sól, słodkich dziewczynek. Nie zapisuję także nazw ulic. Preclarki są wszędzie obok aorty miasta. Tkwią w krwiobiegu centrum, ale nigdy nie próbują forsować pompy ssąco-tłoczącej, serca, czy jak mówią zwykli rzeczywiści i niemetaforyczni spacerowicze, rynku. Bez względu na miejsce preclowych peryferii zawsze daleko im do strategicznych rozwiązań ratusza. Zazwyczaj unieruchomione geologicznie nieprzepuszczalną warstwą swetrów nie mieszczą się również w kadrze zagranicznym turystom. Zresztą oni nie kupują precli od preclarek. Wolą te higienicznie zapakowane w niezniszczalną, foliową osłonę z najbliższego sklepu. Preclarkom nawet ten stan rzeczy odpowiada, nie mówią przecież po obcemu. Jeśli mówią to tylko o sprawach nieistotnych, a jak wiadomo, o takich najlepiej mówi się po polsku.

Nie pytam ich o żadne życiowe i niezyciowe historie – wszystkie są nierzeczywiste. Nie zbliżam się też do wózka z preclami. Mogłabym sprowokować preclarski słowotok o maku, soli i sezamie, czyli ludzkie milczenie wobec niezrozumiałej przestrzeni wkraczającej wraz z Inną Istotą Ludzką. Jestem bowiem Inną. Nie jem precli.



MYŚL (2004)

ZNAKI ŻYCIA
(PAMIĘTNIK CZASU ZAPRZESZŁEGO
NIEDOKONANEGO)

(2008)

dzień dobry

obudziłam się westchnieniem nagiej ziemi
z czarną ziemią w otwartych oczach i ustach
z ludzkim mózgiem ulepionym z wypalanej gliny
dlatego piszę lekką ziemię ziemskim ciężarem ciała

nawet górne niebo jest mi wywyższoną ikoną ziemi
kiedy pytam dokąd myślę jak głęboko w ziemię
zapadną się w pylistej drodze moje nieobute stopy
w niebieskich snach jestem krzemienną kością ziemi

w szczodrej naiwności deszczu wyrastam bujnie
[ironią przydrożnych kamieni
bez ironii mówię pamiętliwe dzień dobry prochom
[zakurzonych wspomnień

WY (2005)

wybudzanie

wstaję
świttem bieli ścian wyrastam
poduszką ponad senny kokon

jawnie
odrzucając ciepły całun prześcieradła
wiarą w rozbłysk aseptycznych spojrzeń
parawanem odsłaniam przebudzenie
nocy za dnia

jestem
chirurgicznym szwem
zabliźnionym śladem ślepej ręki czasu

mimicznym skalpelem uśmiechu
oddzielam światło od ciemności

wstydliwie pocerowanym istnieniem
zapadłam duszą w ciało

wyście

niekiedy oniemiała skalna ściana skrywa w sobie
krzyk
szczeliny światła

czasem wątle słoneczne nici tkane bluszczem
cierpliwie
poskramiają nieodwołałość lawiny

każda rozpacz zamilknięcia daje ciszę głosu
wysłuchanego
miarowym oddechem myśli

nadzieja wczoraj uczy marzenia jutra

jedynie chrobotliwie zamkniętymi drzwiami skomlą
ci co po dwakroć ślepo
wstąpili w bród tej samej rzeki

wybaczenia

i jeszcze jedna czysta para butów
znaczy że mam nogi
to może dokądś pójde
a nawet kiedyś dojde

i jeszcze jedna łza z każdego oka
bo ciągle patrzę dwojgiem
czyli że muszę widzieć
a skoro tak już jest
pewnie się czegoś dopatrzę
w szczerym polu widzenia

i jeszcze jeden długopis
leży jak długi
więc jeszcze
długo
będę
pisać
długiem
życia
opisu
za
rysem
pism
spisem

od
nowa
do
wy
baczenia
ja

wymówienia

bezsłowną litanią
formułą bezsenności
horyzontalną linią sufitu
czas mi wymówił siebie
bez wstępu
bez zakończenia
bez odwołania
do wiecznej racji metryki
wbrew umowie o dzienne
codzienne trawienie i trwanie
teraz przyjdzie mi nocą
istnieć dniem
z zegarka zrobię kolczyk
z kalendarza papierową łódkę
wolno mi będzie także
otwierać oczy i usta
nie troszcząc się w porę o czas
wywabię barwę głosu

paletą zamilczenia
światłe kwestie dialogu zawisną nad moją głową
kurzem i żyrandolem
wiem już prawie na pewno że wcale się nie zmienię
nie zrzućę poprzedniej skóry w geście samokrytyki
o włos mi nie odrosną włosy i paznokcie
nie przełożę narodzin na język odrodzenia
bo nigdy w to nie uwierzę w co kiedyś czasem chciałam
śmiertelna i chwilowa będę patrzeć z góry
spać zawsze o wschodzie słońca
pisać rzęsą poemat
leżeć na miękkiej trawie

aż wreszcie

pochłonie
wieczna
macocha
ziemia
dzieciące niegdyś ciało

potem deszczem i wiatrem
przyłgnę do kory sosnowej
niedatowaną biografią wsiąknę w pień
żywe drewno
ocalę go sobą od śmierci
papierowego losu

na końcu
wspomnieniem wbrew czasom
bezbolesnym beczasem
we śnie utajonym życiem
odpędzę nocne beczucia
ciemną raną poranka

nareszcie
wymówię niepamięć
bursztynowym klejnotem
śmiertelnie pamiętliwej
żywiczej kropli krwi

wygłos

modliłam się deszczem
o
dżdżysty strumień życia

wypłucz
ze mnie ciało
wysłuchaj
drżenia moich mięśni
wycisz
stukot myśli

nadszedł wydeptaną trawą

wypalonym słońcem stepu
nauczył mnie miłości pragnieniem
kropli wody
głos nawołujący po imieniu dygotem
lewej komory

tchnął we mnie duszność
ostatniej sylaby
wy
głos
duszy

wysłowić się

wysłowić się milczeniem na śmierć
wypłynąć z siebie pięcioma litrami
zakrzepłej ciszy
wypowiedzieć swój punkt widzenia
kategorycznym zamknięciem oczu

znowu tam jestem
znowu nadzwyczajnie sama na drugim końcu
tylko własnego języka
znowu to czuję prywatnym kubkiem smakowym
wchłaniam swą pyszną moc
smak światełka w tunelu

znowu grzesznie przymierzam do siebie
stare przymierze
tam gdzie płoną krzaki gorejące
tam ciągle żałuję róż
słowem
łykam powietrze
oddycham
lepkim aromatem pogorzeliśka

wydźwięk

wydźwięczałam jękiem
szepciem poszarpanej struny
szamotaniną słów
snem samotności

wbrew sobie i osobie boskiej

boże
dziękczynnego dźwięku
wysłysz
słuchem ciszy
mowę modlitwy
cichego serca

wymknienia

wymknąć się sobie
z pustych rąk
w lekkie powietrze

upaść słowem
na zaoraną ziemię

o północy potłuc czas
lustrem dni i nocy

przejrzeć się w sobie
niebem
przyjrzyć się światłu
uwierzyć w objawienia
okamgnienia

moje
wymknienia

wydalanie

z oddali żywego ciała
patrzę w martwy czas

z głębokości przymkniętych myśli

wołam o cichą wieczność
słowa
bezimienną klepsydre złożonych
dłoni

w bezruchu serca
na zielonych pastwiskach
godziny mijają mnie
w błogosławionym milczeniu

lepkie powietrze mirrą oddycha za mnie
bez pomocy płuc
domknięte oczy zamykają przede mną
pustą dalekowzroczość horyzontu

wydalam się ze świata
sama
świat mnie wydała z siebie
beze mnie

wierzę i wierzę
w chmurność i durność
górną
wy
dolności

wylinka

ka

linka

ma

linka

wy

linka

wy

minka dziewczynka

kokardka i spinka

ka ka

słonko

spojrzonko

kociątko

słabiątko

ko ko

wylinąć na drugi brzeg

zrzucić różową skórkę

wprost pod własne nogi

widzę i się wstydzę

przyjaciółki

lukrowane malowane

pszczołki

wy krok

wy
kroczyć
wkroczyć w zamroczenie
mrokiem
krokiem wyciszyć myśli

stuk stuk stuk
wróg wróg wróg
cicho cicho cicho
licho liczo liczo

zamknąć wieko powieką
nigdy więcej nigdy mniej
słowa zgrzyty śniegu
brzegu brzegu brzegu
od jutra do wczoraj
od rana do wieczora

wykroczenie zimy
tej co zaskoczyła
papier

lamentem
i
błotem
atramentem
i
potem

wydatki

przyjmuję datki na pustą głowę
przepastną szufladę marzeń
złoty grosz na czapkę niewidkę
dla bezsennego księżyca
srebrny banknot na tusz do rzęs
dla tęczywych oczu nieba

wy
daję
spojrzenie na chmurne oblicze jesieni
dziurawą kieszeń na pełnię radości lata

wiarę nadzieję i miłość na pastwę
dla ludzkich oczu

366 BEZDECHÓW (2006)

listy do śniegu

najcieplejszemu płatkowi śniegu

znowu do ciebie piszę
szelestem myśli
pustą kartką
pościeli

piszę piszę piszę
wieczornym pytaniem o ciszę
zaproszonym okiem
upadkiem ptasiego pióra
wbrew prognozom pogody
ducha

piszę
płatkem życia na ramię
kroplą nadziei na policzku
pytam i odpowiadam snami

najdroższy hipokryto

okryj sobą nagie ślady
mojego dotyku

zasłoń przede mną
błoto
schowaj świat

centymetr nad ziemią

nie pamiętam

niejedynej siostrze

nie pamiętam kiedy
odeszłam cieniem
cierniem myśli
kiedy
przystałam patrzeć
w witrynowe zwierciadła
tłumu
stłumione twarze wzruszeń

pamiętam tylko
dotyk weroniki
smak dłoni
które mnie czyniły
tabula rasa
po
pierwszym drugim trzecim
upadku

pamiętam tylko
że
zabrała mi oblicze
mój nieśmiertelny
grymas bólu

dzień

nieznanemu bogu

żyję życiem żywym dniem
bez twarzy i marzeń
codziennie przeglądam się
w
sobie
osobie
o
sobie

budzę krótkowzroczność ciała
cała z dalekiego snu
stała w myślach o przebudzeniu

pocztówką niewysłanych pozdrowień
ślę spokój czterech ścian
pokój tobie i tamtemu światu

kołyszę garstkę piasku
klepsydrą dziurawych dłoni

oboczności

garbatemu aniołowi stróżowi

niegramatyczny los
każe mi mówić
składnią milczenia
w języku nieporadnych
prze
tłumaczeń
ciszy na ciszę
jestem
o
bocznością
dnia i nocy
w księżycowym kalendarzu
twoich
prze
myśleń
krzyku na krzyk

słowniki

małemu księciu

słowniki słowiki
wyrazy urazy
pragnienie
cierpienie

tyle słów
tyle szans
tyle snów ile nas

a my
ciągle
przeciągle
snujemy
knujemy
miłość
ość

mówimy sobie siebie
tykamy dotykiem

dotykamy
językiem

len

otwartej szafie

poranną wiosną
noszę w sobie ziarno
lnianej duszy

letnim zadumaniem
szorstka duszność lnu
wraść we mnie miękko
szarą
sukienką

jesienną tkliwością
pożera kurz wspomnień
wybacza zawsze raz
pierwszym upadkiem
liścia

lenna tylko sobie
pomięta
pamięta
miętową barwę ciała
niciansy kontur słów

wieczorną zimą
chłodno oddycha dotykem
myśli mowy i uczynku

dopasowanie

sobie samej

dopasowałam
światło świata

do
czarno
białej
fotografii
wykadrowałam siebie
jasne tło
tylko
bezgrzesznych myśli
lewe ucho
samych
odsłoniętych wspomnień
od pasa w górę
wzrost
samooceny

teraz
pas
rzucam
czas
kartą na stół
zdjęciem z przejęciem
twarzą w dół

życiopłaty

najprawszym życiopłatom

żyją płotem
życio
płaty
poty

nie marzą o zielonych gałązkach
przyszłości
regularnie przycinają młode pędy
przyjaźni
chełpią się wprost betonową linią
kręgo
słupa

daj im boże
pewną rękę kosiarki
daj im boże
gładką uległość ściany
daj mi boże
bezszelestnie przejść obok

bursztyn

spojrzeniu sosny

zatopić się w sobie
ciepłem kropli krwi
i
trwać
i
nucić melodię południa
przymkniętych słońcem oczu
i
ocalić
przejrzystość myśli
siłę ognia
lekkość powietrza
pewność matki
ziemi

gęstnieć smakiem fali
płynąć żywicą przez czas
połknąć lepką codzienność
zasypiać miodnym kamykiem
morzem osiąść na pisaku
sztormem szlifować jutro

dziewczynki

wszystkim joasiom świata

małe dziewczynki wierzą w słowa
lepią kulawe wiersze z plasteliny
ustawiają je w pudełku
zamykają złotym kluczem
przewiązują błękitną wstążeczką

potem ta wstążeczka
zamienia się w rwącą rzekę
niesie z prądem marzenia
chlusta błotem w twarz
zbiera wszystkie brudy

potem ten złoty klucz
nie pasuje do żadnego zamka
nie otwiera już drzwi
nie opowiada tajemnic
usypia w pełnej szufladzie

potem to pudełko
ma popękane ścianki
ogłasza śmiertelność papieru
krzyczy ściętym drzewem
domaga się ognia

potem te wiersze
pęcznieją i pleśnieją
zapominają o sobie
zasypiają twardą masą
w końcu budzą się kamieniem

duże dziewczynki wierzą w lustro
ogłaszają dźwiękiem zgrabną prozę życia
odbierają laury za całokształt ciała
całują się wymownie z wielkim ekranem
rozwiązują dylematy uściskiem dłoni

duże dziewczynki
wymyślają sny
małych dziewczynek
kupują im plastelinę
i

wydłubują ją z dywanów

metamorfozy

wieczornej ciszy głosów

rano

obrastam w nieznane

słowa

powoli staję się obcym

słownikiem

wyrazów bez wyrazu

w południe

nie rozumiem kolekcji

znaczeń

używam wszystkich form

milczenia

wieczorem

ściągam bezmyślnie

skórę

zrzucam na podłogę zwoje błahych

stwierzeń

w ciszy naszych głosów

czytam siebie zapachem

poduszki

bez obawy o spójność

tekstu

życzenie

melodii głosu

potępiam
grafomanów za pisanie dla pisma
bełkotliwych za mowę dla mowy
leni za profanację niedziałania
samoopalaczy za brak szacunku dla słońca
cynicznych za ironię dla kpiny

wybaczam
tylko sobie bycie sobą
tylko dla ciebie i z tobą

KRZEMIENIE (2007)

kątem oka

zoczonym przypadkiem przypadkom

zoczyłam
kątem
oka
z kąta pokątnej
salki
krąg
nierównych między nierównymi
wyżłobionych łzami w papierze
poetów

rozpłaszczyła się bladym paltem
bezgrzeszna radosną twórczością
karciana grupa laokoona

plotą i plotą
girlandy ze słów
nie wskrzeszają
iskier geniuszu

nikt
nie wie

po
co
o
co
chodzi
i czy
w
ogóle
wychodzi

nikt
nie pyta
o
coś
po coś

a nawet jeśli
sam dla siebie
wie
nie powie

bo
i
po co

rozplatać gordyjski węzeł
połykać
ości
starości

lepiej
podziwiać nagi bark aleksandra
młodzieńczy brak respektu
lepiej
milczeć o pisaniu
życiem
umowy na czas określony

lepiej pisać o milczeniu
śmiercią

biała wdowa

wszystkim świętym

listopadem o zmierzchu bywam
starą cmentarną babą
oszukaną wyszukanym
słowem
porzuconą szminką pocałunków

zapalam znicz ognikiem
małej dziewczęcej duszyczki
jak to dobrze że
pożarłeś ją zimnym sarkofagiem ciała
jak to dobrze że
jestem herezją twojej świętej pamięci

jak to dobrze że
mam od ciebie wieczny odpoczynek
jutra
wypominkiem plotę codzienną pajęczynę
życia

cisza

przyjaciołom

w odpowiedzi na ślepy blask
wrzask
i
poklask
ukryłam się pod liściem
nie osiki lecz dębu

bez drżenia wątpliwości
czekam na wiatr
podmuch słoneczny wprost ze środka ziemi

tam gdzie kamienie
i
kości
rozpoznają swe twarze

tam gdzie deszcz

jest oddechem
przenikliwością myśli

kiedy przyjdzie do mnie cisza
oddam swe ciało mrówce
niech zaniesie
mój głupi czas w jej mądrą wieczność

niech otworzy mrówczym słowem
ludzką krainę milczenia

z drugiej strony

jesiennym olśnieniom

z drugiej strony
może jest i trzecia

wewnętrzne życie podszewki świata
barwa przymkniętej powieki
myśli przedmiotów w zaszytych kieszeniach
życie wieczne w plastikowym zniczu
geniusz słowa milczany nakładem własnym
czasu

w końcu
do trzech razy sztuka

trzeciego dnia zmartwychwstał
trzeci filar emerytury

zakrywam codzienną gazetą
trzecie oko na czole

bizuteria

jubilerskim snom

najlepiej nosić naszyjniki z łez
szlachetnych kamieni

i
pospolitej ciszy

zawieszać na szyi o północy
jutrzejszy czas

i
wczorajszy cień

potem przeglądać się w tafli
czystej szyby

i
odejść od okna
na świat

zasłonić przed oczami
rysunek myśli

i
zasnąć
wiatrem w kominie
śniegiem na świerkach
ciepłym kubkiem mleka

dotykać szlifowanym snem
bursztynów

na razie

przyjaciółom

na razie jestem
jednorazowa
przed użyciem wstrząsnąć
po użyciu zwrócić życiu

na razie na raz przełykam
razowy dzień dzisiejszy

na razie zbieram razy
za
rażność
i
wy
rażność

narażam się zarazom

credo

kamiennym snom

wierzę
tylko w nieśmiertelną duszę
krzemienia

ufam
tylko zmartwychwstaniu
iskry

wyznaję
tylko boskie ciało
ognia

krzemień sędzi żywych i umarłych
twardym snem o miękkim sercu
ziemi
krzemień uczy pragnienia krawędzi
wzoru na nieskończoność
myśli

przemień mnie w krzemień
o brzemię pamięci
ocal kamieniem moje
trwanie
trawą zarastaj rozpacz

słońcem wypal pole
nie
na
widzenia

wigilia

cichym nocom i dniom

znów się rodzi
pusty żłóbek

dzieciątka
z ciasnym krzyżem ojca
z twarzą struchlałej matki
ono
patrzy przez okno
na błoto pustej drogi
ludzkie dziecko
wątlą podnosisz rękę
krzykiem błogosławisz milczenie

innej kolędy nie będzie

mój gipsowy chrystusik
pachnie kuchenną wanilią
moją świętą rodzinę

smakuję ikoną opłatka
za moim ciepłym oknem
choinkowe światełka świerków

cicha noc co śpiewa śniegiem
święta noc co mówi niebem
pokój niosą niespokojne grudnie
pokój bezskrzydłym aniołom
pokój boskim myślom ludzi

co roku ta sama kolęda

dziś są moje urodziny

grudniowym metrykom

znów dziś mnie traci
twarzą w twarz

jak

rok
w
rok
krok
w
krok

cisza
w
ciszę

stary
nie
śmiertelnie
pamiętliwy
czas

znowu odkrywam swoją
nie
oswojoną
obecność
w pajęczynach metryk
w łazienkowym lustrze
w głosach telefonów

znowu jestem przy boku
słowa
i
ciała

obok
by
cia
ży
cia

picia losu
pustym złotoustym
kieliszkiem szampana

katechizm

ościom mądrości

uczę się
czcząc czczo
mielizny
blizny po bliźnich
odmawiam
mowy do obmowy
wymawiam
odmowę odnowy
milczę wilczo
w
obliczu oblicz
nie
licząc
na
nic
układam litanie za tanie układy

wierzę
w
wieże z marzeń
śnię o snach
nie
śnionych

z miłości do ości
wyrzekam się złości

literatki

pełnym literatkom

kolorowe kredki
kokietki bez metki
na trzy cztery
piją
litrami litery

obejmują
lewą dłonią
niezdobyte zamki snów
zanurzają
suche usta
w płynnych sensach słów

szlifowaną szklanką
odmierzają
oceany
do połowy puste
od połowy pełne

nieśmiertelnie bezsenne
wiecznie bezimiennie
chabry i bławatki
gładkie literatki
księżycowe księżne
zamożnie zamężne
atramentu chmury
córy literatury

sposób bycia

aniołom bezwstydom

jestem szczęśliwie leniwa

nie schadzam się
nie latam
nie dygam

jestem szczęśliwie prawdziwa

nie frazesuję
nie skaczę
nie zabiegam

jestem szczęśliwie żywa

bo nie połknęłam języka
bo nie zgubiłam klucza
bo nie przespałam czasu

jestem szczęśliwie ślepa

na krótkowzroczne blaski
na mieszające się łyżki
na czające się czajniki

najszczęśliwiej jestem zawsze u siebie

zasypiam słowem
budzę się ciszą
zieloną konewką podlewam świat
w wiośnianej doniczce na zmarzniętym oknie

BARWY ZIEMI (2008)

ziemistość

po co ci człecze siać słowa na wietrze

sypać strzępkami papieru na nieoraną glebę
po co ci sklejać łzami popękane myśli
lepić koślawe garnki ze skorup mądrości
papier to papier
a
ziemia to ziemia

wierszem
nie zbudujesz czterech ścian domu
nie obdarzysz miłości ciepłem świec
nie zburzysz milczenia betonowych murów
nie powstrzymasz ucieczki życia kroplą krwi
nie

lepiej uwierz na czas w czas
uwierz w moją kruchą ziemistość
uwierz lustrem swojej twarzy
lepiej zapamiętaj pomietą litanie
zapamiętaj wyliczankę swoich nagich kości
zapamiętaj wzniosłość pospolitym ciepłem ciała

jestem przy tobie gestem prochu
porażona dotykem opadam na trakt
takt
tak
ta
a
to
ja
nauczę cię
siebie
nauczę się
ciebie
nauczę się
na
uczę

ja
twoja
i
moja
pierwsza
i
ostatnia
ja
matka

ja
osłaniana otwartymi dłońmi

odsłaniam linię dłoni

twoja
jedyna
do
pisana
roz
sypana
na
amen

grudka ziemi

uziemianie

napisać nieczułą ziemię ciepłem
ludzkiego ciała
ulepić z gliny kruchą pamięć snu
odczytać z polnych kamieni
brunatność krwi
zdjąć własnoręcznie z nieba
linię horyzontu

pójść o krok dalej
w stronę śladu stopy
napisać gest otwartej dłoni
tajemnicą ziarna

otworzyć okno na beczas ogrodu
odkryć swą ziemskość
lekkością wiatru

tak się stanie w ostatnim dniu
stworzenia

ziemkości

pewnego dnia markotnego w samym środku snu
o przebudzeniu chciałam bezszelestnie zejść
z cukrowej waty chmur na karmelowym suficie
zeskoczyć porannie i żwawo na twardą i hardą
ubitą wieczornym zapomnieniem ziemię

wtedy mój zaspany anioł stróż zrzucił mi pod bosc nogi
nagle i po diable jedwabną drabinę do najbliższego nieba

od tego czasu pruję nici ze słów
do tego czasu snuję słowa z nici
nic z niczego
kość z kości

plotę z impetem
coraz cieńsze
coraz bledsze
cienie z ciemni
ciemności z cieni

tkam dywany z zamilczeń i zaciszy
tropię kroki bez śladów ludzkich stóp
wypatruję przez palce ziemskości ziemi
zasypiam w śpiewających niebieskościach
niezliczonych siódmym nieb

ziemnociepność

opowiadaj głuchym głupoty
śmieszny śmieciu natury
że byłeś rajskim ptakiem
że widziałeś bezchmurne nieba

pospolity upadły odpadzie
wiesz że wszyscy wiemy
od zawsze leżysz pod nogami
mizdrzysz się do zimowych butów

poczekaj w końcu ktoś cię kopnie
poczekaj w końcu ktoś cię sprzątnie
brudny pokraczny nierobie
było ci pisane siedzieć na drzewie

liczni cię rozliczą listą listopadów
a liść lotny
skarbiec królewskiej purpury
skurczył się rdzą

zawzięcie wzdął wezbrane żyły
zaufał wiecznym wiatrom
a liść lekki
miętko pokrył się błotem
bez zbędnych tęsknot
odkrył swą stałą
przygruntową ziemnocielność

a liść goły
odpowiedział gołoledzią

ziemianka

nie
ziemsko
nie
anielska
anka
ziemi
anka

od rana
do rany
siedzi ranna porankiem
na nieludzkiej ziemi
bez ogródek w ogródku
rysuje złamanym patykiem
święcie niezłomny świat

uczy biedronki wielkiej radości
małych czarnych kropek życia
słucha wszystkich leśnych
śmiertelnie gadliwych cisz
oddechem rozmawia z echem
słyszy westchnienia ciszy
śni dobroć myśli

jak będzie trzeba nawet i z odwetem
sama sobie zbuduje z godnej gliny
piękną i odświętną
ziemiankę
by schować i zachować
żywą i prawdziwą
ankę

ziemia

spójrz
ta pusta przestrzeń pod łaskawym okiem
w pejzażu lekko przymkniętych powiek
to twoje prywatne i wyłączne miejsce
na bezludnej snami ciepłej matce ziemi

zobacz
to wszystko co mieści się w dłoni
otwartej nieśmiało światłem kwiatów

to wszystko co możesz osiąść
rokrocznym czekaniem na każdą wiosnę

poczuj
zielone deszczem pastwiska
wonne oazy myśli
strumyki nieszemranych słów
czyste deszcze kropel

zrozum
to wszystko co możesz
podnosząc do góry głowę
ziemię
niebo

ziemia
uczy słowa ludzkiego ciała
ciało uczy ziemię milczenia
milczenie uczy człowieka
ziemi

ziemiopłody

można być podniebnym
żywym płodem ziemi
nie wiedząc nic o życiu

podziemnych korzeni
ale
być może że
można
i
być ziemistym ziemiopłodem zeszłej suszy
nosić kolorowy pióropusz nielotnych liści
bez życiowych żyłek zwykłego życia
zwijać się wyliniałym słońcem południa

bo tak ludnie

płodne płody ziemi ustępują pola widzenia
ślepych ziemiopłodom
wygłaszają wiatrem monologi
nad cichym lustrem wody

wypatrują ciszy falujących obrazów
pod ciężkim niebem lata
wyczekują życia ziemi
spod kamiennych powiek

dla czego i dla kogo
w głębokim przekonaniu o istnieniu
magnowego serca pod wylewną skorupą
ślimaczych zaśnięć i przerwanych przebudzeń

ziemiorodna

z prochu powstałam
i
tak
już zostałam

nogi wyrastają mi lekko z lepkiej ziemi
świętą uśmiechami głowę trzymam uroczyście
w splecionych czczym czekaniem dłoniach
myśli oddalam oddechem dmuchawców

kiedy szukam upadłych słów na czystym śniegu
zasypiam bezwolnie w czarnej bruździe liter
godna wiary białej kartki papieru
drzemiącej cicho w świętym drzewie

snem kamieni
chłodna
prochem kości
ziemiorodna

ziemisko

za karę
za to że
od wczoraj
dłubię w słowach
od jutra
bez gadania
będę pewnie
gryzła ziemię

mniam mniam
bez łaski
mogę
mlaskać i klaskać
smakować
mój nowy
kamienny
chleb powszedni

coraz bliżej
całkiem blisko
połyka mnie
ziemisko
mroczne i żarłoczne
przeżuwa bez litości
moje gderliwe
kości

wypluwa mnie
gdzie tylko chce
najczęściej na rozstaju dróg
żeby mi wytłuc z głowy druk

ziemiozielone

wiosenna gra w ziemio
zielone
oczy

senne spojrzenie w głąb
zbudzonej
ziemi

będzie dawna wiosna bez liczenia lat
będzie ciepłe powietrze bez głębokich oddechów
będą silne łodygi bez subtelných kwiatów
będą harde przebiśniegi bez jedwabnych śniegów

porządek czasu
czas porządku
początki prządków

ogrody słów
strzyżone życiem
wiosna wiedza radosna

spokój trawy zarasta niemoc błota
spojrzenie słońca przymyka niepokój oczu
ziemiozielone słowa wrastają korzeniami w ziemię
wykwitają wszystkimi kolorami zamilczeń

prawoziemny

prawa ziemi uczą mnie milczenia
ciągle żywej lewej komory serca

pierwsze prawo
do życia w prawdzie życia
bez lęku o dzisiejszą niezyciowość wczorajszej prawdy

drugie prawo
do bycia osobą ludzką
bez obawy o utratę właściwego makijażu twarzy
trzecie prawo
do wymawiania prostych słów
bez strachu o ich spisanie fałszyfikatem cynizmu

prawdą prawej ziemi
w prawomocnej wierze
wyrzeźbię wprawną ręką
prawoziemny ślad siebie

bez myślenia o ludzkiej nieludzkości

bez wątpienia w miłościwość myśli
bez tęsknoty do stałości słów
bez wołania o świt jasnego świata

matka

matko moja jedyna
języku moich myśli
pusta przestrzeni słów

śladem stóp uczysz mnie ziemi
kulawym rymem
dobra prawdy i piękna
miłości nienawiści śmierci
prawdy fałszu cynizmu

ocal mój świat grudką ziemi
wymilczanym szczęściem
słońca wody powietrza
pisma papieru wiersza
snu przebudzenia bezsenności

matko moja jedyna
języku moich myśli
łąko zielonych traw

napisz mój los przydrożnym kamieniem

dobranoc

pora na dobranoc
bo już księżyc świeci
sprzątnij wiersze na noc
poezja nie śmieci

Nie będę poetką

Po co mi dłużej zabawki ze słów? Za dużo liter już wysączono w niczemu niewinne blade kartki papieru. Mnie się wcale nie chce krwawić pismem. Po co ludzie wierzą w poetów? Może lepiej wierzyć w milczące krasnoludki? Ja na przykład wierzę w nieśmiertelność kotów. Po co nam durność, chmurność i górność kolejnych wierszy o durności, chmurności i górności? Ja na pewno nie będę poetką. Nie wierzę w żadne poetyckie „my”. Wolę zwykłe „ja” z kości, skóry, krwi i tłuszczu. W naszej domniemanej bezkrwawości wycinamy lasy hipokryzją papierowej mrzonki o nieśmiertelności. Oto wewnętrzny rym głupoty ludzkich snów o mądrości. I nic z tego nie wynika. Nie znam nikogo, komu by poezja przywróciła życie. Każdy kiedyś musi nie-być. Po co strach przed niebyciem? Ja się chętnie rozłożę na pierwiastki śladowe razem z liśćmi, trawą i zużytą bawełną. Wcale mnie nie przeraża wizja soli mineralnych w glebie. Z radością użyję ciała i myśli życiem. Nie będę poetką! Jaka ulga w tym stwierdzeniu. Będę pisać życie życiem. Życ!



KOZIOROŻEC (2009)

GODZINA W.
(MINUTY BEZ SŁÓW)

(2009)

mam

mam ten dar patrzę się inaczej

mam ten czas co uczy mnie kłamstwa zegarów
mam ten krzyż co pisze mną wieczne golgoty
mam tę miłość co milczy pieśnią nad pieśniami

mam ten wers co mnie pokrwawił życiem
mam ten wiersz co już go nie napiszę
mam tę myśl co mi nie przyjdzie do głowy

mam ten dar ocalę cię sobą

spokój

twój jedwabny kręgosłup porannego lęku moja gliniana
[pewność wieczornej osi świata
twoje zbyt krótkie zbyt krągłe zbyt proste słowa moje zbyt
[długie zbyt kanciaste cisze
twoja ciepła obawa o naszą jedyną prawdę moja samotna
[zimna ufność w przemijanie

nasz dzisiejszy spokój bycia obok echa naszych
[głuchych pragnień

nasze wymarzone puste miejsca na naszej własnej
[gęstej mapie dni
nasza dziecięca radość dotykania blizn naszych
[osobnych dorosłości

kromka chleba

zostaw sobie choć okruch ostatniej kromki chleba
nie oddawaj mi siebie wątląm źródłem otwartej dłoni

odejdę chłodem wraz z ostatnim płatkiem śniegu
wsiąknę w ziemię wiosną nieznanych kwiatów

kłamstwa

po co nam trudne prawdy lepiej napiszmy sobie baśnie
[z tysiąca i jednej fatamorgany
po co nam łatwe słowa lepiej wymyślmy sobie nowy alfabet
[tylko naszych omenów

po co nam życie skoro możemy być zgrabnym cytatem
[dawno zapomnianych historii
po co nam śmierć skoro możemy jej skosztować bezwoną
[codziennością nieistnienia

przespać sen

budzić się we śnie nie budzić snem dnia
budzić dzień zamknięciem oczu nie spać

odnaleźć sen bez przebudzeń żarówki
przespać sen bez obudzenia senności dnia

2010: palinodia kosmiczna

w roku podwojonej doskonałości liczby postanowiłam
bezpowrotnie odwołać swoją kosmiczną niedoskonałość

teraz będę już tylko wypełniać swym niebyciem doskonałość
teraz nie będę już nigdy szukać dziury w całym miejscu
[dla siebie]

zło

jedyne realne zło to cisza niewypowiedzianych myśli
moment w którym przestajemy opowiadać siebie
chwila bycia obok drugiego bez nadziei dialogu

moje myśli umierają same bez pomocy dobrej śmierci
twoje myśli umierają wobec mnie w szyderstwie zaprzeczeń

knajpa

rozpuściliśmy naszą miłość w piwnej pianie
tylko ja zapłaciłam rachunek za barwę miodu

słowa niosły nas alkoholem bełkotliwych marzeń
milczenia budziły do życia trzeźwych osądów

czym jest miłość po zaśnięciu
snem mięśni ciężeniem czaszki

czym jest sen kiedy się kocha
przebudzeniem dnia po zachodzie słońca

petycja do Pawła

szkoda że tyle mówił o miłości
gdyby wiedział o życiu cokolwiek
gdyby znał radość odejścia
gdyby wierzył w siłę zaniechania

ale życie życiem
miłość miłością
pisanie pisaniem
ja mnie

nie będę poetką

dawno temu minuty bez słów nazwały mnie poetką
zamiast mówić co czuję i czego nie chcę pisałam siebie
było i było minąć nie chciało chlapało łzami i atramentem
wreszcie mięśnie życia kazały mi przemówić mną

jestem
mówię
chcę
nie będę poetką

Poetka-tekst czy tekst o poetce? – próba performansu poetyckiego

Nie jestem poetką to piąta książka poetycka Anny Kapusty, na który składają się wiersze powstałe w latach 1998-2009, z wyjątkiem cyklu *Godzina W. (minuty bez słów)* wcześniej już publikowane oraz fragmenty prozatorskie dotąd nie ogłoszone drukiem, będące swego rodzaju autokomentarzem autorki do jej kilkuletniej drogi twórczej. Nie tyle jednak powieliła on i niejako podsumowuje jej dotychczasowy dorobek poetycki, co raczej podsuwa palinodię, na taką skalę niespotykaną do tej pory na polskiej scenie literackiej. Autorka mówiąc „nie jestem poetką”, stosuje bowiem nietypowy chwyt, odwołuje to wszystko, co sama wcześniej napisała, odrzuca wzorzec kulturowy nakazujący, by postępowała tak jak tradycyjni poeci, uwznioślała czynność pisania i pozowała na osobę wyjątkową. Odcina się

od panów poetów
pewnych swej nieśmiertelności
jak chorągiewka wiatru (*modlitwa*)

W deklaracji tej spotyka się podmiot empiryczny z podmiotem tekstowym, tym bardziej że już wcześniej poetka niejednokrotnie przedstawiała samą siebie jako „tekst”:

Urodziłam się jak widać tekstem bez autora. Potem postanowiłam się autoryzować. I tak do dziś. Pismo rzuca mi wyzwania słów. Napisz siebie dla czasu przeszłego, myślę sobie, kiedy potrzebuję towarzystwa własnych myśli¹.

A przecież „istnienie tekstowe jako istnienie metaforyczne sięga korzeniami, jak każda metafora, do empirii”². Podmiot uzyskuje charakter sylleptyczny, występuje jako empiryczny i jako tekstowy, jako autentyczny i jako zaprojektowany, nie istnieje najpierw „w sobie”, by następnie wyrazić, o ile jest to możliwe, samego siebie w języku, gdyż „każdy akt tworzenia jest tylko pozornie uzewnętrznianiem siebie”³, lecz jak gdyby samego siebie „pisze sobą”⁴. Nie sposób rozstrzygnąć, czy w wyznaniu:

dawno temu minuty bez słów nazwały mnie poetką
zamiast mówić co czuję i czego nie chcę pisałam siebie
(nie będę poetką)

¹ A. Kapusta, *Trzymać się pisma* [w:] *Pisać rzeszą poemat. Wybór wierszy z lat 1998-2008*, Kraków 2009, s. 8.

² M. Delaperrire, *W poszukiwaniu autora. Gry i stawki polskiej literatury współczesnej* [w:] *Dialog z dystansu. Studia i szkice*, Kraków 1998, s. 104.

³ *Rozmowa Lidii Żukowskiej z Anną Kapustą* [w:] A. Kapusta, *Biały ptak*, Kraków 2003, s. 44.

⁴ R. Nycz, *Tropy „ja”. Koncepcje podmiotowości w literaturze polskiej ostatniego stulecia* [w:] *Język modernizmu. Prolegomena historycznoliterackie*, Wrocław 1997, s. 110.

w większej mierze dochodzi do głosu kobieta mająca za sobą doświadczenia poetyckie czy też projekcja podmiotu tekstowego, któremu przypisuje się cechy poetki. Podmiot sylleptyczny zostaje niejako zawieszony pomiędzy nie-poezją a poezją, życiem a tekstem, ciałem a słowem. W wierszu *Co to znaczy być poetką* wyjaśnia, że istnieje, marzy, funkcjonuje „z miłości do przemilczeń”. Autorka także przyznaje się do tego, że chętnie „metaforzy”, wykorzystuje metaforę, która jest dla niej „dotykem z pogranicza słowa i ciała”⁵, „byciem sam na sam z językiem ciągle przed-słownym i nigdy niedosłownym”, dzięki metaforyzacji tak jak tekst balansuje pomiędzy istnieniem denotatywnym a konotatywnym.

Od czasu do czasu włącza samą siebie w obręb tekstu na poziomie innym niż sprawstwo. Swoim imieniem i nazwiskiem sygnuje wypowiedzi raczej wolne od metafor, w których podejmuje głównie problematykę autotematyczną, snuje rozważania na temat miejsca kobiety-twórcy, w tym swojego miejsca w świecie i pośród ludzi. Konsekwentnie umieszczając sygnaturę przed każdym urywkiem pisany prozą, rzuca światło na utwory poetyckie, które po nich w niniejszym tomie następują, sugeruje czytelnikowi, że w pewnej mierze ma on równocześnie do czynienia i z jej własnym doświadczeniem bycia „poetką-tekstem”, i z doświadczeniem utekstowionym podmiotu. Taka strategia poetycka dowodzi również tego, iż autorka mimo swojego młodego wieku

⁵ A. Kapusta, *Metaforzenia* [w:] *Znaki życia. Pamiętnik czasu zaprzęszłego niedokonanego*, Kraków 2008, s. 5.

osiągnęła samoświadomość procesu twórczego, zrozumiała, czym jest poezja, czym różni się istnienie poetki od nie-bycia-poetką⁶. Doszła do momentu, kiedy – jak pisze w antymotcie – jej „poezja (...) przechodzi w dorosłość”. Dotarła do etapu przejścia, po własnowolnym odseparowaniu się od poetów znalazła się w okresie „liminalnym”⁷, popadła w refleksję nad sobą, „poetką-tekstem”, a nawet zaczęła sama ze sobą negocjować, kim może być w przyszłości, jaka rola kulturowa czy społeczna może jej przyspaść. Także zebranie w jednym zbiorze juveniliów i utworów nieco późniejszych, dojrzałszych jest zabiegiem celowym, świadczącym o przekonaniu autorki, że ślady poetyckich doświadczeń podmiotu, wyłaniające się ze wszystkich utworów, są wyraźniejsze i bogatsze niż pojedyncze ślady obecne w poszczególnych wierszach⁸. Oświetlają się one wzajemnie, umożliwiają zobaczenie tego,

⁶ A. Stoff, *Ja, autor. O funkcjach sygnatur w literaturze współczesnej* [w:] *Ja, autor. Sytuacja podmiotu w polskiej literaturze współczesnej*, red. D. Śniezko, Warszawa 1996, s. 69-70.

⁷ A. van Gennep, *Obrzędy przejścia: systematyczne studium ceremonii*, przeł. B. Biały, wstęp J. Tokarska-Bakir, Warszawa 2006, s. 30-36; V. Turner, *Las symboli. Aspekty rytuałów u ludu Ndembu*, przeł. A. Szyjewski, Kraków 2006, s. 112-113.

⁸ M. Czermińska, *Autor – podmiot – osoba. Fikcjonalność i niefikcjonalność* [w:] *Polonistyka w przebudowie. Literaturoznawstwo – wiedza o języku – wiedza o kulturze – edukacja. Zjazd Polonistów, Kraków 22-25 września 2004*, red. M. Czermińska, S. Gajda, K. Kłosiński, A. Legeżyńska, A. Z. Makowiecki, R. Nycz, t. 1, Kraków 2005, s. 215-216.

co pozostawało niewidoczne w każdym w utworze z osobna, a nawet odsłaniają jakiś głębszy porządek całości⁹.

Idąc po tych śladach można w pewnym momencie odkryć, iż poetka postępuje zgodnie z duchem postmodernizmu, który

(...) zwraca się ku formom otwartym, swobodnym, względnym, (...) przesuniętym i nieokreślonym, ku dyskursowi fragmentów, ideologii szczelin, chęci odwołania tego, co się zrobiło¹⁰.

Zdaje się dążyć do anulowania dotychczasowych dokonaniań twórczych, dlatego zdobywa się na niecodzienny eksperyment, na próbę performansu poetyckiego. Już samo traktowanie przez autorkę własnych utworów jako tekstualizacji, procesu twórczego odsłanianego w tekście, jest jednym z wyznaczników postmodernistycznego performansu, który „uwi-docznia”, „odgrywa”, czyni bardziej komunikatywnym dla czytelnika proces konstruowania znaczenia¹¹. Główną materią gry przed odbiorcą i dla odbiorcy autorka ustanawia samą siebie ujmowaną jako „tekst”, własne dokonania poetyckie i doświadczenia kulturowe. Z rozmysłem „stwarza wizerunek

⁹ M. Czermińska, *Hipoteza autorstwa (O podmiocie dzieł wszystkich jednego autora)* [w:] *Ja, autor...*, s. 84-85.

¹⁰ I. Hassan, *The Question of Postmodernism* [w:] *Romanticism, Modernism, Postmodernism*, ed. by H. R. Garvin, „Bucknell Review” 1980, t. 25, s. 125; cyt. za: M. Carlson, *Performans*, przeł. E. Kubikowska, red. naukowy T. Kubikowski, Warszawa 2007, s. 205.

¹¹ R. Schechner, *Performatyka: wstęp*, przeł. T. Kubikowski, Wrocław 2006.

siebie, ale nie na własny użytek, tylko na użytek innych”¹². Nie dba jednakże o robienie wrażenia na czytelniku, bardziej zależy jej na działaniu nastawionym na wywołanie w nim podwójnej świadomości¹³, dzięki której mógłby odczuwać napięcie pomiędzy nią a pozą, jaką przyjęła, pomiędzy tym, co rzeczywiste a tym, co udawane, by w końcu dotrzeć do istoty tego osobliwego przedsięwzięcia literackiego. U podstaw performansu poetyckiego leży bowiem założenie, iż cały dotychczasowy dorobek autorki zebrany w niniejszym tomie jest dziełem w toku, nieskończonym i niepełnym. Rozwija się dopiero jak gdyby na oczach czytelnika, który z początku nie spodziewa się, że autorka mniej lub bardziej otwarcie ustosunkowuje się do „zachowanego zachowania”¹⁴, gotowego scenariusza postaw i póź powszechnie przypisywanych twórcom. Nie spodziewa się, ponieważ tego rodzaju chwyt nie jest znany na gruncie poezji. Takie wykorzystanie „zachowanego zachowania” często spotyka się w performansie odgrywanym w teatrze, włączanym do tańca, psychodramy, rytuału, szamanizmu, transu czy psychoanalizy¹⁵.

W powszechnej świadomości pokutuje przekonanie, iż poetka, podobnie zresztą jak poeta, jest osobą wyjątkową, osamotnioną, nierozumianą przez zwykłych ludzi, nie-poet-

¹² E. Goffman, *Rytuał interakcyjny*, przeł. A. Szulżycka, Warszawa 2006, s. 78.

¹³ E. Goffman, *Człowiek w teatrze życia codziennego*, oprac. i wstęp J. Szacki, przeł. H. Datner-Śpiewak i P. Śpiewak, Warszawa 2000, s. 63.

¹⁴ R. Schechner, *op. cit.*, s. 35.

¹⁵ M. Carlson, *op. cit.*, s. 83.

ki i nie-poetów. Mimo to często dają słyszeć się głosy, że ktoś chciałby być poetą, gdyż wiąże się z tym prestiż, szacunek czy popularność. W konsekwencji rozpowszechnienia tego wzorca ci, którzy tworzą poezję, zostają zepchnięci na margines ludzkiej wspólnoty, z czego zdają sobie sprawę, tak jak podmiot jednego z wierszy:

dawno temu oddałam
siebie
gabinetowi osobliwości (*list z tamtego świata*)

Doświadcza tego także autorka, dla której pisanie jest sposobem uchronienia się przed światem, gdzie „nieodpowiednich, czyli innych”, bo tak ich nazywa we fragmencie prozą *Od białej kartki do białego ptaka*, skazuje się na wykluczenie ze zbiorowości, brak akceptacji, a czasem nawet pogardę. Z początku trochę asekuracyjnie stawia samą siebie po stronie zwykłych ludzi, „odpowiednich”, o nich i o sobie mówi ‘my’, jak gdyby w ten sposób chciała poczuć się bezpiecznie i powstrzymać ich reakcję na swoją poezję. Nie jest jednak jedną z nich. Traktuje samą siebie jak *tabula rasa*, „białą kartkę”, którą zapełnia słowami, tworam i własnymi wyobraźni, własnymi doświadczeniami i przemyśleniami, dzięki czemu zamienia ją w „białego ptaka”, w „tekst”. Wszak słowa są przyrodzoną częścią jej samej:

przyniosłam słowa
ręcznie szlifowane
odcinki
mojego szkieletu (*co to znaczy być poetą*)

Dopiero po kilku latach poetka zdobywa się na wyznanie świadczące o tym, iż świadomie, choć nie bez obaw podziela los „nieodpowiednich”, dla których pisanie jest rodzajem działania:

Ciągle wierzę, że uda mi się kochać życie tekstem. (...) Coraz mniej rozumiem poza białą kartką. (...) Czasem myślę nawet, że współcześni eremici słowa ocalają świat przed sobą królestwem pisma. Albo inaczej – ocalają się pismem przed światem. My eremici pisma. (...) Działamy pisząc¹⁶.

Na przestrzeni lat stosunek autorki do własnej poezji najwyraźniej ewoluuje, podobnie jak zmienia się podmiot zabierający głos w jej wierszach, który mówi o sobie:

oto ja
zwierciadło czasu
obramowane
pustką stwierdzeń
zniekształconych myśli (*autoportret*)

Czas ma więc wpływ i na podmiot empiryczny, i na podmiot tekstowy. Dlatego trudno orzec, czy to zmiany zachodzące w poetce emanują na „tekst”, w którym „pisze siebie” czy też odwrotnie, tekst w trakcie powstawania wywiera wpływ na „poetkę-tekst”. W każdym bądź razie w wypowiedzi *O sobie samej w osobie pierwszej*, będącej parodią znanych w tradycji literackiej manifestów programowych, poetka dokonuje przewrotnej feminizacji manifestu.

¹⁶ A. Kapusta, *Trzymać się pisma...*, s. 7.

Kiedy kobieta mówi poprzez performans, wiadomo, że wyraża własne spostrzeżenia, własne fantazje, własne analizy. Będąc zarazem czynnym autorem i ulotnym medium, zaznacza swoją niedającą się odrzucić obecność (akt feminizmu) we wrogim (patriarchalnym) otoczeniu¹⁷.

Autorka tworzy „igraszkę z «męskim» wizerunkiem instytucji Muzy – kobiety obok artysty”. Swoje wystąpienie nazywa manifą programową (określenie manifa w przeciwieństwie do manifestu jest rodzaju żeńskiego), by ostentacyjnie zademonstrować, że przemawia w nim podmiot-kobieta. Z przymrużeniem oka traktuje tradycyjne, „męskie” proklamacje pełne bezdyskusyjnych stwierdzeń i niepodważalnych aksjomatów, z emfazą wypowiedzianych przez mężczyzn. Manifę wypełnia isticie kobiecymi wyjaśnieniami, dlaczego zdecydowała się „mówić ja w pierwszej osobie”. Przez każde jej stwierdzenie przebijają wątpliwości wyrażane w postaci pytań, co jest typowe dla kobiecego sposobu mówienia. Jak sama deklaruje, nie umie wypowiedzieć siebie „w języku innym niż Kobięce Milczenie (zamilknięcie?)”, czyli inaczej niż poprzez metaforę, w której zawsze pozostaje jakiś obszar niedopowiedzenia. Podąża za „śladami kobiecej tożsamości” od Ewy i Ksantypy po Małgorzatę i Aurorę, jak gdyby pośród kobiet inspirujących artystów na przestrzeni wieków, a może w oparciu o konfrontację z nimi, „tworzyła” samą siebie. Poniekąd trochę

¹⁷ C. Elwes, *Floating Femininity: A Look at Performance Art by Women* [w:] *Women's Images of Men*, ed. by S. Kent, J. Morreau, London 1985, s. 162; cyt. za: M. Carlson, *op. cit.*, s. 241.

mimowolnie zaczyna „podmiotować”¹⁸ swoją twórczość. Pi-
sze, że „gdzieś po drodze wydarzyła się także moja tożsamość,
profil autorki lub autorstwo profilu”. W ten sposób drwi
z mężczyzn piszących manifesty, którzy unikają słabych form
podmiotowania w rodzaju ‘wydarzyła się’, świadczących
o tym, iż coś mogło nastąpić bez ich przyzwolenia i kontroli.
Ostrze ironii wymierza też w samą siebie, sugerując, że nie do
końca panuje nad własną tożsamością w „tekście”. Sprawia
wrażenie, jakby nie wiedziała, kim naprawdę jest, żywą istotą
czy wykreowanym podmiotem tekstowym, jakby gubiła się
w „tekście”. Igra również z czytelnikiem, nie wyjaśnia mu,
czy ma do czynienia z „poetką-tekstem” czy też z tekstem
o poetce. Na podstawie własnego doświadczenia i obserwacji
relacji międzyludzkich wnioskuje, iż wszędzie panuje – jak
stwierdza w *Preclarkach* – „ludzkie milczenie wobec niezro-
zumiałej przestrzeni wkraczającej wraz z Inną Istotą Ludz-
ką”, taką jak ona. Jeszcze bardziej samotna czuje się w trakcie
prób „wysłowienia sobą siebie”.

znowu tam jestem
znowu nadzwyczajnie sama na drugim końcu
tylko własnego języka (*wysłowić się*)

W końcu autorka będąca w fazie liminalnej, przejściowej
dochodzi do przewrotnego wniosku, że nie będzie poetką ży-
jącą marzeniami o nieśmiertelności, którą miałyby jej zapew-

¹⁸ „Podmiotować” uznaje się za czynnościową wersję wyrażenia „bycie podmiotem” (M. Majczyzna, *Podmiotowość a tożsamość* [w:] *Tożsamość człowieka*, red. A. Gałdowa, Kraków 2000, s. 41).

nić twórczość poetycka. We fragmencie prozą *Nie będę poetką* wyznaje: „Nie wierzę w żadne poetyckie «my». Wolę zwykłe «ja» z kości, skóry, krwi i tłuszczu”. Tym samym porzuca życie tekstem na rzecz „pisania życia życiem”. Deklaruje, że chce być zwykłym, przeciętnym człowiekiem, pragnie zwyczajnie żyć. Czy mówi to jednak na serio? Może jest to jakiś chwyt poetki-performerki? *Godzina W.* wydaje się wszakże parodią liryków lozańskich Adama Mickiewicza, napisanych w przełomowym momencie jego życia, kiedy

(...) zawałił się (...) cały świat wielkich idei, romantycznych, ale również odwiecznych marzeń i nadziei, mitów i przekonań. Sensowność ludzkiej egzystencji, sensowność poezji i bycia poetą, sensowność dążenia do ideału, nie mówiąc już o możliwości jego realizowania – wszystko to, odarte ze złudzeń przez precyzyjne poetyckie dowody, runęło¹⁹.

Podobne doświadczenia z poezją zdaje się mieć podmiot wierszy Anny Kapusty. Podobne – tylko z pozoru, bo z tą jednak różnicą, że niniejszy tom poetycki niczego nie domyka, nie jest podsumowaniem dotychczasowych działań twórczych autorki, ani tym bardziej nie jest żadnym epitafium. W utworach z cyklu *Godzina W. (minuty bez słów)* podmiot zgodnie z zasadami performansu odgrywa przed czytelnikiem swą śmierć dla poezji, świadomie grzebie swe dokonania poetyckie, przewartościowuje dotychczasowe ideały:

¹⁹ J. Brzozowski, *Fragment lozański. Próba komentarza do wierszy ostatnich Mickiewicza* [w:] *Liryki lozańskie Adama Mickiewicza. Strona Lemanu. Antologia*, oprac. M. Stala, Kraków 1998, s. 338-339.

w roku podwojonej doskonałości liczby postanowiłam
bezpowrotnie odwołać swoją kosmiczną niedoskonałość
(2010: *palinodia kosmiczna*)

Performatywna rola nie-bycia-poetką, w którą wchodzi podmiot, zakłada istnienie publiczności, nie jest odgrywana jako performans dla performansu. Dlatego podmiot nie pozostaje sam na sam z własnymi myślami, nie szuka pocieszenia w samotności, nie płacze nad swoim losem ani nie ubolewa nad upływem czasu, tak jak to czynił Mickiewicz, lecz częściej niż w wierszach z wcześniejszych cykli zwraca się do adresata lirycznego, częściej też o nim i o sobie mówi 'my', jakby chciał pokazać, że zbliża się do życia i ludzi, czuje bliskość z drugim człowiekiem. Podmiot zdaje sobie jednak sprawę z tego, że „nie opowiadając siebie”, skazuje się na nie-byt, gdyż dla kogoś, kto „pisał sobą siebie” niebytem jest zamknięcie, niebytem jest także obecność osoby, z którą nie potrafi zawiązać komunikacji ani podjąć rozmowy.

(...) cisza niewypowiedzianych myśli
moment w którym przestajemy opowiadać siebie
chwila bycia obok drugiego człowieka bez nadziei dialogu (*złoto*)

Wybicie godziny W. oznacza śmierć poetki dla poezji,
nie-pisanie i nie-metaforzenie, odejście w całkowity nie-byt,
nie-istnienie.

po co nam śmierć skoro możemy jej skosztować bezwonną codziennością nieistnienia (*kłamstwa*)

Nasuwa się pytanie, czy jest to śmierć „poetki-tekstu” czy też koniec tekstu o poetce? Ta niezwykła godzina wybija przecież z inicjatywy poetki. Nie jest nagłą niespodzianką, lecz performatywnym chwytem. Po takiej śmierci następuje zmartwychwstanie, można by rzec, tekstowa przemiana. Podmiot wiersza zamykającego niniejszy tom wyznaje:

wreszcie mięśnie życia kazały mi przemówić mną
jestem
mówię
chcę
nie będę poetką (*nie będę poetką*)

A zatem aby istnieć, trzeba mówić i chcieć, chcieć mówić. Podmiot z własnej woli stwierdza, iż nie chce być poetką, ale – rzecz znamienne – nic nie wskazuje na to, że to koniec tekstualizacji, koniec procesu twórczego odsłanianego w tekście utworów składających się na niniejszy zbiór. To jedynie koniec tekstu o poetce, która następstwa nie-pisania, eksperymentu, jakiemu kiedyś poddała samą siebie, opisuje tak:

Ciało zdradza pamięć pisma byle jakim gestem obecności. Bez liter nie rozumiem chyba swojej cielesności. Nie umiem być ciałem bez postzapisu²⁰.

Obraz *Koziorożec*, będący wizualnym dopełnieniem *Godziny W.*, także zdaje się to sugerować. Bo przecież poetka, Anna Kapusta, jest zodiakalnym koziorożcem, co w pew-

²⁰ A. Kapusta, *Trzymać się pisma...*, s. 8.

nej mierze pozwala identyfikować ją z podmiotem. Autorka, kobieta z ciała, krwi i kości nadal żyje, dlatego jako „poetka-tekst” będzie nadal istnieć, rozwijać się, tyle tylko że prawdopodobnie pod innym szyldem. Być może stanie się „prozaiczką-tekstem”, na co wskazywać mogą fragmenty prozatorskie umieszczone w tym zbiorze. *Nie będę poetką* można więc uznać za próbę performansu poetyckiego, gdyż ujawnia ironiczny stosunek autorki do utrwalonego kulturowo wzorca „bycia poetką”. Ta gra z tradycją kulturową jest jednocześnie paradoksalnym procesem jej utrwalania, ponieważ definiuje „nie-bycie-poetką” poprzez negację, począwszy od anty-motta, poprzez urywki prozą, które z pozoru zdają się nie pasować do poezji, a na wierszu, eksplicytnej autodeklaracji *nie będę poetką* skończywszy. Ta gra pozwala autorce przezwyciężyć okres przejściowy swojej twórczości i ponownie włączyć się w ustalony porządek kultury, nie zajmować się nie-pisaniem, lecz pisaniem. Stwierdzenie „nie jestem poetką” (lub „nie będę poetką”) nadające niniejszemu tomowi poetyckiemu budowę kłamrową, otwierające go i zamykające, znajdujące się nie tylko na jego karcie tytułowej, ale też będące ostatnim zdaniem wypowiedzianym przez mówiący w nim podmiot, jest zatem przewrotne, wpędza czytelnika w pułapkę paradoksu. Ów zbiór poetycki bowiem niczego nie niweczy ani nie przekreśla w „poetce-tekście”. Wręcz przeciwnie, intencją autorki jest, aby był on otwarciem.

SPIS TREŚCI

Joanna Marzęcka <i>Jak powstała mowa?</i>	3
Ewa Kapusta <i>Poezja jak narkotyk</i>	5
antymotto.....	9
<i>Od białej kartki do białego ptaka</i>	11
Pegaz (2000)	15
biały ptak (wiersze z lat 1998-2002)	
ślady wątpliwości	19
I. autoportret	
co to znaczy być poetą	21
(***) na krosnach	22
pajęczyny.....	23
telegram.....	23
(***) unikam.....	24
kołysanka.....	25
nie wołaj mnie	26
litania	26
(***) bywam	27
autoportret	27
II. osvajanie przestrzeni	
(***) w zardzewiałych rynnach	29
niepokój mgły	29
Genesis.....	30
drogowskazy	30
śnieg.....	31

przedpiekle	31
krypta reformatów	32
pytanie sfinksa	32
pejzaż.....	33
oswajanie przestrzeni	33

III. możliwości

jutro.....	34
list do prawej ręki.....	35
rozgrzeszenie	35
światło	36
taniec opętanej ćmy	36
(***) mamy wspólnie.....	37
kalejdoskop.....	38
kalendarze	39
medium	39
możliwości	40

IV. misterium

ostatni z długowiecznych	41
Psalm.....	42
(***) nieśmiertelność.....	42
epitafum	43
wieczór autorski.....	44
liczenie szkieletów.....	45
(***) są rzeczy	45
sen.....	46
list z tamtego jutra	46
misterium	47

V. metamorfozy

po północy.....	48
(***) ukrzesłowiłam.....	48
(***) przemyka	49
wypominki.....	49

George de la Tour	50
diagnoza.....	50
martwa natura.....	51
półcień.....	51
wernisaż.....	52
metamorfozy.....	52

VI. oddechy

milczenie.....	53
przymierze	53
stwierdzenie	53
laserunek.....	54
fotografia.....	54
menu	54
czasoprzestrzeń.....	55
widziałam.....	55
(***) siadywał.....	55
na końcu świata	56

O sobie samej w osobie pierwszej (Manifa programowa) 57

Pismo (2008) 59

Kobiety mistrza (29 grudnia 2003-29 grudnia 2004)

Prolog

pieśń wieczorna.....	63
próba dramy	64
oko boga Re.....	65
grzechotka.....	65
astrida	66

Część I. anatomia mistrza

nadejście mistrza	67
anatomia mistrza.....	67
stań się.....	68
sfumato.....	68

rozmowa	69
liryka.....	69
sennik	70
płaskorzeźba.....	70
barwy podstawowe	71
cisza	71
august rodin.....	72
rok 1492	72
zamilczenia.....	73
zabawkarnia	73
szkło.....	74
mistrzowi piekiel.....	74
ważąca perły.....	75
milczenie galatei.....	76

Część II. Pieśń małgorzaty

pierwsze spotkanie	77
siostra.....	78
aurora	78
królowa balu	79
judyta.....	80
hieroglif	81
ksantypa.....	81
wiedźma.....	82
innego wiersza nie będzie	82
pamięć	83
testament	83
srebrne myśli	84
album	84
modlitwa.....	85
ewa	86
pieśń małgorzaty	86
odejście mistrza	88
uśmiech	88

Epilog	
pytania.....	89
epos moja.....	89
peregrynacje.....	90
błękitne trzewiki	91
kwestia czasu.....	92
Preclarki.....	93
Myśl (2004).....	95
znaki życia (pamiętnik czasu zaprzeszłego niedokonanego) (2008)	
dzień dobry.....	99
wy (2005)	
wybudzanie.....	101
wyjście	102
wybaczenia.....	103
wymówienia.....	104
wygłos.....	106
wysławić się	107
wydźwięk	108
wymknienia	109
wydalanie.....	109
wylinka.....	111
wykrok.....	112
wydatki.....	113
366 bezdechów (2006)	
listy do śniegu	114
nie pamiętam	115
dzień	116
oboczności	117
słowniki	118
len.....	119
dopasowanie	120

życiopłoty	121
bursztyn	122
dziewczynki.....	123
metamorfozy	125
życzenie.....	126

krzemienie (2007)

kątem oka	127
biała wdowa	129
cisza	130
z drugiej strony	131
biżuteria.....	132
na razie	133
credo.....	134
wigilia	135
dziś są moje urodziny	136
katechizm.....	138
literatki	139
sposób bycia.....	140

barwy ziemi (2008)

ziemistość.....	142
uziemianie.....	144
ziemskości.....	145
ziemnociepność.....	146
ziemianka.....	147
ziemia	148
ziemiopłody	149
ziemiorodna	151
ziemisko.....	152
ziemiozielone	153
prawoziemny.....	154
matka.....	155
dobranoc.....	156

<i>Nie będę poetką</i>	157
Koziorożec (2009)	159
godzina W. (minuty bez słów) (2009)	
mam	163
spokój	163
kromka chleba.....	164
kłamstwa.....	164
przespać sen	165
2010: palinodia kosmiczna.....	165
zło.....	165
knajpa	166
petycja do Pawła.....	166
nie będę poetką.....	167
Katarzyna Grzyb: <i>Poetka-tekst czy tekst o poetce?</i>	
– próba performansu poetyckiego	169

